

odgłosy



Leszek Różga - Konkurs na grafikę - wyróżnienie

Fot. A. Idziński

PATRZ - str. 8

W OSIEMNASTYM ROKU po WOJNIE

MIECZYŚŁAW
WOŹNIAKOWSKI



Kolumna Okrętów w Leningradzie

Inne to miasto niż Moskwa. Ta „innosc” przejawia się co krok. Choćby — już na dworcu. Członkowie Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej witają nas na peronie, każda z naszych pań otrzymuje po kilka kwiatów. Wprawdzie mizernych, jesiennych, wiadomo — koniec października, a zresztą, tutaj w ogóle z kwiatami krucha... Ale dla nas, dla wycieczki z Polski — znalazły się.

No i — zaczyna się zwiedzanie w tempie przyspieszonego filmu. Historia Leningradu jest krótka, ale bogata, skondensowana i widoczna.

Zaczyna się chyba od maleńkiego domku Piotra I,

który od niego nad Nową zaczął budowę nowoczesnego, wielkiego miasta. Historia ta biegnie od Jeźdźca Miedzianego i dziesiątków innych pomników, soborów i pałaców z „zimowym” (chyba trzeba rzec: na czole) przez ponure piotrowe-włowskie kazamaty — „po ogromny” stadion im. Kirowa nad Zatoką Fińską, metro — czyste i nowoczesne i „Moskiewski Prospekt” po tętną, 12-kilometrową arterię komunikacyjną.

Spośród konglomeratu najróżniejszych wrażeń i odczuć owego pierwszego dnia wybija się jedno przeżycie niestarte: cmentarz — Mauzoleum, gdzie złożono ciała 620 tysięcy leningradczyków zmarłych śmiercią

głodową w czasie oblężenia przez hitlerowskie hordy. Urzekające jest bolesnością i pięknem to miejsce. I nie wiem, co tu silniej przemawia: czy zdjęcia — dokumenty z owych dni heroicznych zmagania i cierpienia, czy bólu pełna muzyka z wieczystym zniecierpliwieniem spleciona, czy może z daleka przez mżawkę widoczny posąg Matki-Ojczyzny, która gestem macierzyńskim te mogły do serca przysparnia?

Dzień drugi: Puszkino — dawniej Carskie Sioło, letnia rezydencja carów położona kilkanaście kilometrów od mias-

Dalszy ciąg na str. 4

TO JUŻ REFORMA SZKOLNA

A więc wkroczyliśmy w okres reformy ustroju szkolnictwa i programów nauczania. Od 1 września bieżącego roku klasy 1, 2, 3 i częściowo 4-te szkoły podstawowej uczą się według nowego planu godzin i według nowych programów. Fakt ten przeszedł nie zauważony przez rodziców. I chyba warto byłoby wzorem niektórych szkół podstawowych w Łodzi zaznajomić rodziców na początku roku szkolnego, albo na początku okresu klasyfikacyjnego, z tym czego dziecko będzie się uczyło i czego przy klasyfikacji będzie się od niego wymagać.

Reforma szkolnictwa zakłada, że w latach od 1962 do 1967 szkoła podstawowa przejdzie z 7-mioletniego na 8-mioletni kurs nauki. A więc obecna 8 klasa w liceach zostanie przyłączona do szkoły podstawowej. Natomiast liceum otrzyma klasę 12. Czyli całość wykształcenia średniego składać się będzie z 8 klas szkoły podstawowej i 4 klas liceum.

Stopniowy przebieg reformy według lat wyglądać będzie następująco:

W roku szkolnym 1962/63 nowy program w klasach 1, 2, 3 i częściowo w 4.

W 1963/64 — nowy program klasy 5 i 9.

W 1964/65 — dalszych klas 6 i 10.

W 1965/66 — klas 7 i 11.

W 1966/67 — klas 8 i 12.

Tak więc 1 września 1967 r. ruszy pełną parą całkowicie nowa 8-klasowa szkoła i nowe 4-klasowe liceum. Te ostatnie prawdopodobnie jedne matematyczno-przyrodniczego, a drugie humanistycznego typu.

Od 1 września 1967 r. zacznie się też reforma ustroju i programów szkół zawodowych, tak zasadniczych szkół zawodowych jak i techników. Czyli: nie warto łamać rąk nad starymi programami i podręcznikami, bo przed nami są nowe, a i one będą tylko tymczasowe, niedoskonałe i wymagające od zaraz krytycznej oceny.

Programy i podręczniki układają nauczyciele specjalności danych przedmiotów. I tu tkwi niebezpieczeństwo. Dla takich specjalistów opuszczenie jakiegokolwiek z literatury lub wprowadzenie nowej, to lekceważenie ich ukochanego przedmiotu. Broniąc swego przedmiotu zatracają widok całości problematyki szkolnej, dziecka, nauczyciela, rodziców. I dlatego już klasę, zwłaszcza krytyczne, ludzi nie badających tylko wąskimi specjalistami pozwalają przywrócić równowagę między projektami fachowców, a możliwościami dziecka i szkoły.

Warto tu nadmienić, że przy układaniu nowych programów rozgrywa się osre walki między „starymi”, a nowymi laty. Zwiększa przy języku polskim, historii, geo-

grafii i językach obcych. — Dużo jeszcze poglądów w rodzaju „za moich czasów, panie dziej”. Owo „mosterdzie jowanie” podtrzymuje uporczywie w programach starożytnie literacka i historyczna, bo ponoć bez niej nie można zrozumieć teraźniejszości. I dlatego właśnie w nowych programach ze zdi-

STANISŁAW
LIPKO

wieniem znowu znajdujemy ruinie.

Słusznie nauczyciele i rodzice obawiają się, by w nowych programach nie zwyciężył tradycjonalizm. Sojrzanie ludzi stojących z boku i nie zaangażowanych w walkę o specjalistyczne szczegóły — jest bardzo potrzebne. Odgrywa ono czasem rolę zimnego tuszu.

Mamy już plan godzin nauczania dla szkoły 8-letniej. Ponieważ warto się z nim zapoznać, podaję go poniżej w całości.

Przedmiot	K l a s y								Razem godzin
	I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	
J. polski	8	10	9	9	7	7	5	5	60
J. rosyjski					3	3	3	2	11
Historia					2	2	2	2	8
Wied. o społec.							1	2	3
Wied. o przyrodzie			2	2	2	—	—	—	6
Biologia					2	2	2	2	6
Geografia				2	2	2	2	2	10
Matematyka	5	6	6	6	6	6	5	5	45
Fizyka						2	3	3	8
Chemia							2	2	4
Zaj. praktyczne	2	2	2	2	2	2	3	3	18
Wychow. plastycz.			1	1	1	1	1	1	6
Wychow. muzycz. 1	1	1	1	1	1	1	1	1	8
Wychow. fizyczne 2	2	2	2	2	2	2	2	2	16
Godz. wychowaw.					1	1	1	1	4
Razem	18	21	23	25	29	31	33	33	213
Zajęcia nadobowiazkowe:									
Język zach. europ.						3	2	2	7
Chór i zesp. muz.						2			2
Przyp. sportowe						2			2

Dalszy ciąg na str. 2



„BABCIA ŚWIĘTOKRZYSKA”

— patrz str. 6 i 7

KORES- PONDEN- CJA

W OKOLICY DWÓCH ŚWIĘTYCH BĘDZIE BEZPIECZNIEJ

W związku z zamieszczonym w łamach Waszego tygodnika z dnia 14. X. br. za nr 41-241 artykułem pt. „Okolice dwóch świętych”, uprzejmie powiadamiam, iż zainteresowaliśmy się za warty w nim uwagami pod adresem terenowej jednostki MO.

W wyniku przeprowadzonych czynności przez Komendę Dzielnicy MO Łódź-Górna zlikwidowano grupę chuliganów pod nazwą „Zorro”, która zakłócała spokój publiczny mieszkańców rejonu Chojen i Kurczaków. W skład tej grupy wchodziło niezależnie od osób dorosłych również nieletni. W stosunku do osób dorosłych, którzy byli inspiratorami, Prokuratura Powiatowa dla Dzielnicy Łódź-Górna zastosowała arest tymczasowy, natomiast nieletni postanowieniem Sądu zostali skierowani do schroniska w Wieluniu.

Niezależnie od zlikwidowanej grupy zatrzymano i osadzono w aresztach zgodnie z nakazem Prokuratury Powiatowej dla Dzielnicy Łódź-Górna 14. osobników podejrzanych o dokonywanie rozbojów na terenie tej dzielnicy.

Kierownictwo Komendy Dzielnicy chce zapewnić lepsze bezpieczeństwo mieszkańców Rudy, Chojen, Józefowa, Młynka, Komornik i Kurczaków w miarę swych możliwości wysła tam więcej patroli milicyjnych oraz organizuje różne przedsięwzięcia, mające na celu zwalczanie wszelkiego rodzaju chuliganstwa w łamach rejonu.

Ponadto w dniu 24. X. br. otwarto posterunek ORMO przy ulicy Rzgowskiej nr 175 a pod koniec br. przewiduje się utworzenie dalszego posterunku ORMO na Józefowie.

W świetle kontynuowanych czynności przez terenową jednostkę MO stan bezpieczeństwa opisanych rejonów będzie systematycznie się poprawiał.

Nacz. Wydziału Ogólnego Komendy MO m. Łódź mjr mgr R. Włodarski

HIERARCHIA POTRZEB

SZANOWNY PANIE REDAKTORZ!

W tygodniku „Odgłosy” z dnia 28. X. 62 roku, w artykule „Arterioskleroza” pan Feliks Bąbel dowodzi, że nikt przed wojną przez długie dziesięciolecia nie myślał nigdy o Wielkiej Łodzi.

Nieprawda. Protestuję przeciw takiemu twierdzeniu. Będąc radnym m. Łódź, w czerwcu 1927 roku opracowałem wniosek w sprawie przyłączenia do Łodzi sąsiednich terenów, celem racjonalnego ich rozplanowania. Wniosek, w imieniu Frakcji radnych

To już REFORMA SZKOLNA

Dokończenie
ze str. 1

Z ogólnej liczby godzin tygodniowych widzimy jak stopniowo narasta liczba lekcji od 1-szej (18 g. (tyg.) do 8-mej (33 g. tyg.).

Można już teraz powiedzieć, że w klasie 1, 2 i 3 dziecko mogłoby się uczyć 24 g. tyg. czyli 4 godziny dziennie. To nie jest dużo. Za to miało być mniej zadań do domu. Ale zwiększenie liczby lekcji to zwiększenie liczby nauczycieli. A nauczycieli brak, i z każdym rokiem brak ten będzie coraz większy.

W nowym planie uderza duża ilość godzin, przeznaczonych na język polski. I słusznie. A także dla matematyki, i też słusznie. Przedmioty humanistyczne, tj. polski, rosyjski, historia i wiadomości o społeczeństwie mają 32 godz. na 213 czyli niecałe 40 proc. Dużą ilość mają przedmioty matematyczno-fizyczne tj. matematyka, fizyka i chemia: 57 godz. czyli około 27 proc. i przyrodnicze — 22 g. czyli około 10 proc. Pozostała 1/4 godzin zabierają przedmioty artystyczno-techniczne.

Z tego przeglądu widać jak nadal szkoła podstawowa jest humanistyczna, ogólnokształcąca szkoła.

Wśród przedmiotów mamy kilka nowych. Są to: wiadomości o społeczeństwie, wiadomości o przyrodzie, wychowanie plastyczne i nadobowiązkowe języki zachodnioeuropejskie.

Pierwszy z nich stanowi składankę różnych wiadomości o rodzinie, życiu szkolnym, o życiu w mieście i na wsi, o funkcjonowaniu władz miejscowych, urządzeń usługowych, o życiu społecznym i kulturalnym miejscowości, o zagadnieniach moralności, o pracy ludzi i stosunkach ekonomicznych, wreszcie wiadomości o ustroju naszego państwa i innych państw, o stosunkach międzynarodowych i roli obozu socjalistycznego w świecie. Jest to przedmiot, który nazwać można wiadomościami obywatelskimi. Zakręga wiadomości nabyte okazują się w innych przedmiotach i stara się z nich stworzyć pewien system.

Potrzeba takiego przedmiotu jest jasna.

Wiadomości o przyrodzie są propedeutyka albo wstępem do późniejszej nauki fizyki, chemii, biologii i geografii. Bowiem zawierają one początkowe wiadomości z tych właśnie przedmiotów.

Można mieć wątpliwości, co do potrzeby tego przedmiotu. Czy nie lepiej bowiem byłoby od razu zaczynać naukę tych przedmiotów?

Pokrzywdzenie śpiewu i rysunków w nowej siatce widoczne. Co to za nauka

śpiewu i godzinę czyli 45 minut na tydzień? Co to za wychowanie plastyczne przez 45 min. w tygodniu? Tu same przygotowywanie czynności zajmują mnóstwo czasu. Więcej niż w każdym innym przedmiocie.

A więc obydwa przedmioty pozostają nadal tzw. „michalkami”.

Jako język obowiązkowy obcy wprowadzono rosyjski. Zachodnie przeniesiono do przedmiotów nadobowiązkowych. Tutaj rodzice mają duże zastrzeżenia. Dlaczego pytają, nie zostawiono szkoły i rodzicom możliwości wyboru obcego języka? Taki uniformizm językowy stwarza duże kłopoty, gdyż nie wszędzie są nauczyciele — rosyjscy. W godzinach nadobowiązkowych drugiego obcego języka mogą się uczyć tylko dzieci miejskie. Na prowincji brak nauczycieli, brak chęci pracy w gospodarstwie — u niemożliwość prowadzenie tych lekcji nadobowiązkowo. Przecież 2 godz. tyg. na całą szkołę na prowadzenie chóru czy zespołu muzycznego — to śmiesznie mało. A jeśli tych zespołów jest kilka? A jeśli chór jest kilku-głosowy? Cóż to za śpiewanie i muzykowanie całej szkoły w ciągu 2 godzin tygodniowo?

Treść nauczania i przydział godzin nie stanowią jeszcze o wartości reformy. Istotną jest tu zmiana, unowocześnienie metod i środków nauczania. Programy stawiają pewne wymagania. Nauczyciel stara się je wypełnić i goni za ilościowymi wynikami nauczania.

Wymagania te są sprawdzane przez władze szkolne. Po goń za ilościowym wykonaniem programu odbija się niekorzystnie na jakości opanowania wiedzy. O tej jakości świadczy stopień opanowania wiedzy, powiązania jej z pokrewnymi wiadomościami, jej trwałość, umiejętność zastosowania w praktyce, rozumienie jej znaczenia w życiu człowieka i społeczeństwa.

Goniąc za ilościowym wykonaniem planu zaciera wychowawczą stronę nauczania. Kształcenie młodzieży zawęża się do opanowania pewnej określonej ilości wiadomości z poszczególnych przedmiotów. Zapomina się o rozwoju dyspozycji psychicznych i fizycznych ucznia, o rozwoju jego horyzontu myślowego, o jego umiejętności korzystania z dóbr kulturalnych i jego postawie moralno-politycznej.

Te właśnie braki są przyczyną ataków na szkołę i jej pracę. Bo najczęściej tak bywa, że młodzież opanowała materiał programowy, zna go na pamięć, ale niesytą tylko werbalnie. Nie potrafi pokazać tego na przykładach, nie wie gdzie i kiedy można wie-dzę praktycznie wykorzystać, nie zna jej dalszej perspektywy.

Też właśnie braki są przyczyną ataków na szkołę i jej pracę. Bo najczęściej tak bywa, że młodzież opanowała materiał programowy, zna go na pamięć, ale niesytą tylko werbalnie. Nie potrafi pokazać tego na przykładach, nie wie gdzie i kiedy można wie-dzę praktycznie wykorzystać, nie zna jej dalszej perspektywy.

Polskiej Partii Socjalistycznej referowałem na posiedzeniu Rady Miejskiej. W sprawie tej została wybrana komisja, w której bardzo czynnie pracował ówczesny naczelnik wydziału statystycznego, a obecny rektor Uniwersytetu Łódzkiego p. Edward Rosset. Następnie, w 1930 roku została wydana drukiem praca moja poświęcona Wielkiej Łodzi pt. „Inkorporacja terenów i plany regulacyjne m. Łódź”. A więc przed wojną byli ludzie, którzy nie tylko myśleli, lecz tworzyli Wielką Łódź.

Widać, że pan Bąbel w ogóle nie zainteresował się dokumentami samorządu łódzkiego,

lecz płytko i pochopnie ocenił przedwojenną działalność samorządu łódzkiego.

A teraz sprawa druga. Nie stwarzamy takiej sytuacji, aby każdy sobie rzepkę skrobał na swym podwórku. Rozbieżność tysięcy domów tylko dlatego, aby tramwaj parę minut wcześniej przyjechał do końcowej stacji — przyniesie większą szkodę aniżeli pożytek. Dziś, kiedy ludzie przemogą walczą o zdobycie izby mieszkalnej, kiedy ograniczenie powierzchni mieszkalnej dochodzi do 7 m kwadratowych na osobę, kiedy w samej tylko Łodzi — jak podawała prasa — na miesz-

kanie czeka 101 tysięcy osób, kiedy potrzeba najmniej 25 tysięcy mieszkań, kiedy ludzie gnieźdzą się na poddaszach i w suterrenach, a w 3 tysiącach wypadków na osobę przypada 2-3 m kwadratowych — ważniejsze są domy mieszkalne aniżeli wydawanie setek milionów złotych na powiększenie szybkości tramwajów. Są potrzeby nie tylko Łodzi, lecz ogólnopolskie, na które należy wcześniej wydać pieniądze aniżeli na cele, o których szeroko rozpisują się autor artykułu.

Z poważaniem
S. RAPALSKI

Stare pokolenie, widząc te braki, sarka na szkołę, na programy, na podręczniki, ale najchętniej i najczęściej na nauczycieli. Tematyka szkolna, a właściwie krytykanctwo szkoły i nauczycieli jest dzisiaj najmłodszym zajęciem dziennikarzy. O trudnościach obiektywnych pracy nauczycielskiej mówi się tylko w kregach nauczycielskich, a pisze się w prasie fachowej. Prasa niepedagogiczna i ludzkie piszący, ale nie — nauczyciele — są owymi „wolnymi strzelcami”, a często wprost klusownikami.

Trzeba, aby o pracy szkoły pisali częściej sami nauczyciele i to w prasie niepedagogicznej. Konfrontacja poglądów społeczeństwa i fachowców może być bardzo konstruktywna.

Mamy już początki reformy. Mamy nowy program w klasach 1, 2, 3, 4, ale brak podręczników, brak nadal pomocy naukowych, brak przygotowanych kadr nauczycielskich, w gmatławienie przepisów oszczędnościowych Ministerstwa Oświaty — trudno ułożyć nierzad sensownie pracę szkoły. Miałoby być w tym roku uruchomione klasy eksperymentalne, wypróbowujące nowe programy, ale ich nie ma. Nie wydrukowano jeszcze programów i podręczników. W przyszłym roku ma być nowy program i nowe podręczniki w klasach 5 i 9, ale wątpliwe czy wyjdą one na czas z drukarni.

Albo kadry. Już dziś w Łodzi zatrudniamy nauczycieli z niepełnymi kwalifikacjami w szkołach średnich. Uniwersytet nie zaspokaja zapotrzebowania na rusycystów, fizyków, chemików, matematyków. A przecież przed kilkoma laty, wieloletnia Wyższa Szkoła Pedagogiczna, zobowiązała się do tego. Nie dostarcza kadr psychologów i pedagogów dla przedszkoli, internatów, domów dziecka, szkół specjalnych, administracji szkolnej i nadzoru pedagogicznego. I nawet nie widac chęci zrozumienia tego problemu.

Nie ma na razie widoków na kształcenie nauczycieli zajęć technicznych i wychowania fizycznego, dla szkół średnich.

Wreszcie problem „przeobrażenia” metod pracy nauczycieli już pracujących. Nowe programy na ten dział pracy nauczycieli kładą główny nacisk. Tak np. klasa 1, 2, 3, i 4 każda winna mieć 1 nauczyciela, który by uczył wszystkich przedmiotów w danej klasie. A więc jest to nauczyciel-omnibus w małym wydaniu. Prócz tego w klasach 1 i 2-giej poleca program nauczania globalnego. Znaczy to, że na tej samej lekcji nauczyciel uczy języka polskiego, matematyki, zajęć praktycznych, rysunków, śpiewu, gimnastyki.

Przeobrażenie pracy nauczycieli, przywykłych do nauczania na każdej lekcji jednego przedmiotu, na nauczanie takiej mieszanki, jest poważnym szkoleństwem.

A to przecież tylko niewielka część kłopotów związanych z reformą szkolnictwa. Nauczyciel sam tych trudności nie przełamie, jeśli nie pomoże mu dom, rodzice, środowisko. Zwalczając w rozwinięciu trudności wychowawczych, o których należałoby oddzielić pomówić zarówno od strony nauczycielskiej, sto- lica jak i rodzicielskiego domu.

STANISŁAW LIPKO

Sprawie reformy szkolnej pragniemy poświęcić dużo miejsca również i w przyszłości. Nauczanie i wychowanie młodzieży zgodnie z wymogami współczesności stanowi problem ogólnospołeczny, dlatego prosimy o zabieranie głosu wszystkich zainteresowanych, zwłaszcza zaś nauczycieli.

red.

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

doc. dr. inż. ADAMEM
SROCZYŃSKIM

kier. Zakładu Technologii Krochmalu i Syropu, Wydziału Chemii Spoż. Pł

- o:
 - o WSZECHPOTĘŻNEJ SKROBI
 - o BITWIE NAUKOWCÓW
 - o BIAŁKO
 - o ULTRADŹWIĘKOWEJ CZEKOLADZIE
 - o I INNYCH

— Jak można wnioskować z nazwy zakładu przedmiotem naukowo-badawczych prac Pana Profesora jest przede wszystkim skrobia. Czy wciąż zajmuje ona naczelną miejsce w codziennym życiu człowieka?

— Skrobia była i jest podstawowym węglowodanem, głównym składnikiem naszego codziennego pożywienia. Stanowczo przeciętny zjadacz chleba nie docenia tego tak popularnego węglowodanu. Służy on też do produkcji dekstryn i klejów roślinnych, a po dalszym rozłożeniu skrobi tzw. hydrolizie otrzymujemy syrop i glikozę albo inaczej — cukier owocowy.

— Do czego służą te produkty?

— Razem ze skrobią stanowią one ważne artykuły dla szeregu przemysłów jak np. przemysłu spożywczego, włókienniczego, papierniczego, farmaceutycznego, kosmetycznego itp. Mączka ziemniaczana, dekstryna żółta i biała są używane w przemyśle tekstylnym jako artykuły do apretury tkanin, w przemyśle papierniczym zaś jako wszelkiego rodzaju lepiszcze. Z krochmalu wytwarza się też syrop ziemniaczany, glikozę techniczną (dla garbarstwa) i glikozę krystaliczną (dla celów leczniczych) oraz dla przemysłu chemicznego.

— Nasze prababki używały także ryżowej skrobi jako pudru...

— Nie tylko prababki. Skrobia ryżowa jest i dziś jeszcze podstawowym składnikiem przysypki i pudru. Otrzymana ze skrobi glikozą używana jest do produkcji zastrzyków wzmacniających i odżywczych. Pochodny glikozy tzw. glikonian wapnia służy do zastrzyków stosowanych przy leczeniu pierwszych stadiów gruźlicy oraz dla wzmocnienia ustroju kostnego organizmu.

— Nasze prababki używały także ryżowej skrobi jako pudru...

— Nie tylko prababki. Skrobia ryżowa jest i dziś jeszcze podstawowym składnikiem przysypki i pudru. Otrzymana ze skrobi glikozą używana jest do produkcji zastrzyków wzmacniających i odżywczych. Pochodny glikozy tzw. glikonian wapnia służy do zastrzyków stosowanych przy leczeniu pierwszych stadiów gruźlicy oraz dla wzmocnienia ustroju kostnego organizmu.

— Nasze prababki używały także ryżowej skrobi jako pudru...

— Wielekroć zastosowanie skrobi jest rezultatem postępu technicznego w dziedzinie chemii spożywczej. Czy można prosić o krótkie omówienie nad czym pracuje się w zakładzie?

— Prowadzimy prace naukowo-badawcze w dwóch jak gdyby grupach: dla potrzeb przemysłu ziemniaczanego (posiadamy w kraju liczne krochmalnie ostatnio intensywnie modernizowane) oraz przemysłu cukrowniczego. Zwalczając w tej pierwszej grupie potrzeby naszej gospodarki są olbrzymie zważywszy choćby to, że 3/4 krajowej produkcji krochmalu idzie na eksport i że w związku z tym potrzeba stosowania nowoczesnych technologii jest coraz większa.

— Nie wtajemniczonym trudno jednak zrozumieć co ma postępowanie techniczne do tak prostej i od króla Cwieczka znanej wytwórczości jak produkcja skrobi...

— W tej dziedzinie jak by się zdawało wytwórczości dokonujemy stale kapitalnych rewolucji technicznych i technologicznych. Np. takie zagadnienie. Skrobie



otrzymujemy z ziemniaków w których oprócz niej znajduje się i białko. Ma ono duże znaczenie jako jedna z najważniejszych substancji pokarmowych. W ziemniakach znajdują się substancje białkowe w ilości ok. 2 proc. i przeważnie substancje te przy przerobieniu ziemniaków na krochmal są tracone. A ponieważ przetwarzamy rocznie ponad 1 milion ton ziemniaków w naszych krochmalniach, to strata białka wynosi aż 20 tys. ton tej drogocennej substancji. Nauka nasza idzie więc w tym kierunku, aby przynajmniej połowę tego białka odzyskać bądź to na pasze dla bydła bądź też w formie czystych aminokwasów tj. substancji wysoko odżywczych. Badania nad odzyskaniem różnych postaci białka z soku ziemniaczanego prowadzi właśnie nasz zakład. Nad zagadnieniem tym pracujemy od kilku lat, publikowaliśmy prace z tej dziedziny i obecnie przygotowujemy do druku dalsze publikacje.

— Nad jakimi jeszcze zagadnieniami prowadzi się prace w zakładzie?

— Dotychczas rozkład czyli hydrolizę skrobi przeprowadza się za pomocą kwasów. Nasz zakład podjął się opracowania hydrolizy skrobi za pomocą jonitów. Tym sposobem można będzie otrzymać ze skrobi czystsze produkty, szczególnie glikozę krystaliczną i przypuszczalnie z większą wydajnością. Opracowujemy też błyskawiczną dekstrynizację, skrobi w strumieniu gorącego powietrza. Dzięki temu proces skraca się z kilku godzin do kilkunastu sekund. Mówiąc bardziej opisowo, dotychczas otrzymuje się dekstrynę przez prażenie krochmalu w ciągu kilku godzin w tzw. retortach lub w bębnoch. Obecnie opracowuje się metodę dzięki, której proces prażenia odbywa się w aparaturze pneumatycznej, gdzie skrobia unoszą jest przez strumień gorącego powietrza, a powstała dekstryna oddzielona w specjalnych aparatach czyli cyklonach. Nasza praca nad

Dalszy ciąg
na str. 4

9 DNI JEDNEGO ROKU

Rok 1956 był w kinematografii radzieckiej jeżeli nie rokiem przełomowym to na pewno zapowiadającym zmiany w skostniałym od schematyzmu twórczości filmowej lat 1950-54. Nie od razu zjawia się „nowa fala” radziecka z „Czystym niebem” Czuchraja. Były filmy, które choć czasami z mozołem, ale torowały drogę zmianom w radzieckiej twórczości filmowej — „Osiołek Magdany”, „Czterdziesty pierwszy”, „Dom w którym żyjemy”, „Lecą żurawie”. Był potem „Los człowieka” i „Pokój przychodzącemu na świat”. W roku ubiegłym triumfy święciło wspomniane „Czyste niebo”. Rokrocznie kinematografia radziecka daje film, który jest tematem wielu rozważań krytyków i powszechnej dyskusji.

Reż. Michał Romm należy już do klasyków filmowych, jego „Lenin w październiku”, „Lenin w 1918 roku” to pozycje wymieniane przez podręczniki historii sztuki filmowej. „DZIEWIĘĆ DNI JEDNEGO ROKU” zrealizował Romm po sześciolatej przerwie. Tak jak rok 1956 stał się rokiem początków „nowej fali” w radzieckim filmie, tak dla Romma był rokiem rozrachunku z własną, dotychczasową twórczością, szczególnie tą, z okresu lat pięćdziesiątych, kiedy realizował filmy prawie bez większych wartości jak: „Tajna misja”, „Admirał Uszakow”, „Zabójstwo przy ulicy Dan-

tego”. Przypominając ten okres niepowodzeń reżysera „Dziewięć dni jednego roku” należy jednak ciągle pamiętać, że Romm w 1934 roku zrealizował „Baryłkę” wg Maupassanta. Już w tym filmie Romm doświadczył tego, co znalazło znakomite rozwinięcie w jego ostatnim dziele, a mianowicie umiejętności skrupulatnej analizy psychologicznej postaci.

„Dziewięć dni jednego roku” jest dziełem poruszającym wiele problemów, utworem filmowym bardzo złożonym. Reżyser ukazał problemy ogólne nie poprzez wygłaszanie deklaracyjnych ogólników, lecz w aspekcie pojedynczych ludzi obdarzonych całym szeregiem przeżyć osobistych i kompleksów. Realizując trudny nie wątpliwie scenariusz, którego współautorem jest znany scenarzysta „Czystego nieba” Daniel Chrabrowicki, Romm przekazał nie tylko wielowarstwową treść, ale odszedł od tradycyjnej konstrukcji filmu rozgrywającej historię swych bohaterów wielopłaszczyznowo, wydobywając z niej sporo odcieni i wieloznaczności. Swoją rolę oparł przede wszystkim na aktorstwie i znakomitych dialogach. Dialogi bohaterów „Dziewięć dni jednego roku” stały się motorem powolnie, ale konsekwentnie rozwijającej się akcji filmu. Problem ludzkiej postawy wobec pracy i spraw osobistych, łączenia lub wykluczania jednych z nich został wypowiedziany

nie poprzez okrugłe, deklaracyjne zdania. Wymiana zdań między bohaterami filmu trzyma widzów w ciągłym napięciu.

Aleksy Batalow w roli Gusiewa stworzył kreację człowieka świadomego swoich czynów, znającego swe cele i oddanego im. Gusiew Batalowa to nie tylko rzeczowy, inteligentny, ale również wrażliwy i nowoczesny człowiek. Oczywiście Batalowowi nie ustępuje, a nawet powiedziałbym przewyższa go swoją znakomitą kreacją Innokentij Smoktowski — wielkie odkrycie aktorskie kinematografii radzieckiej. Ten świetny aktor, męski duet uzupełnia pełna wdzięku i bardzo dobra aktorsko debiutująca w filmie Romma Tatjana Lawrowa. Film Romma ma w każdej swej warstwie coś cennego, odkrywczego. Poza bogatymi treściami intelektualnymi, poza świetnym przekazaniem tych treści przez wymienionych aktorów zaskakuje pięknymi zdjęciami, znakomitą kompozycją kadrów, daleką od przesadnej dynamicznej ekspresji. Kadry komponowane przez operatora Hermana Lawrowa — są spokojne, przemyślane, precyzyjne. Tak więc „Dziewięć dni jednego roku” można nazwać nowym, odkrywczym sukcesem konsekwentnie rozwijającej się „nowej fali” radzieckiej — zaskakującej świeżością formy i odwagą treści.



Claudia Cardinale

MARIA KORNIATOWSKA

FILM AUTORSKI

Zbliża się koniec roku i jak zwykle zadajemy sobie pytanie, co wniesie on nowego do skarbnicy światowej kinematografii. Czy był to rok urodzajny dla filmu, czy też jałowy? Odpowiedź nie jest prosta, chociażby ze względu na brak odpowiedniej perspektywy czasowej. Rok 1962 mija pod znakiem dalszej ofensywy filmu autorskiego, filmu, w którym anegdota, „historyjka” ustępuje miejsca podtekstom reżyserskim, odautorskim wypowiedziom i przemysleniom. Film autorski, to film o wysokich ambicjach artystycznych. Nie oznacza to oczywiście, iż jest to film najwyższej rangi, gdyż nie zawsze realne osiągnięcia dorównują ambicjom. Nielatwo w dzisiejszych czasach mieć coś do powiedzenia, a już zupełnie trudno zamknąć to w banalnych schematach filmowej formy. Na swojej drodze „do uszlachetnienia”, do uzyskania rangi autentycznej ekspresji artystycznej, film musi borykać się z poważnymi oporami natury wewnętrznej i zewnętrznej. W pierwszym przypadku chodzi o samo twórczość dzieła filmowego, o materiał audiowizualny, który z jednej strony zdradza tendencję do skrajnej konkretności, z drugiej do natrętnej symboliki. Obie te tendencje ściśle i dialektycznie ze sobą powiązane, umniejszają elastyczność materiału filmowego, umniejszają jego zdolność przystawania do koncepcji autorskiej. Środki, jakim operuje film są w porównaniu z literaturą o wiele uboższe w możliwości oddania różnorodnych niuansów i ulotnych nastrojów, w możliwości oddania niepowtarzalnego i bardzo indywidualnego widzenia świata.

Słowo jest niewatłowie znacznie bardziej gęstym narzędziem ekspresji niż obraz. Na szczęście istnieje ono również i w filmie. Negatywna rola odgrywa także pewne utarte już formuły dramatycznej i narracyjnej

struktury filmu. W sumie filmowi niezwykle trudno zdobyć się na styl, na indywidualność, bez której nie można jednak mówić o dziele autorskim. I prawdopodobnie długo jeszcze przyjdzie nam czekać na filmy, będące według określenia znakomitego krytyka francuskiego A. Bazina „miejscem subtelnych interferencji stylu, psychologii, moralności lub metafizyki”.

Sprawa druga, to opory natury zewnętrznej. A więc ograniczenia wynikające z faktu, iż film jest nie tylko wypowiedzią swego twórcy, ale i produktem skomplikowanej maszyny przemysłowej, owocem pracy całego kolektywu. A więc, problem odbiorcy, problem nieprzygotowania widza do głębszego rozumienia filmu, do traktowania go jako coś więcej niż zgrabnie opowiedzianą historyjkę. Na szczęście w sukurs filmowi przyszła telewizja, biorąc na siebie niezbyt wdzieczna, acz popłatna materialnie i moralnie funkcję dostarczenia bajeczek dla dorosłych. Dzięki telewizji film, natychmiast, nawet w oczach najwybredniejszych smakoszy intelektu, nabrał charakteru „czegoś lepszego”. Chwała więc przynajmniej za to telewizji!

Mimo tych wspomnianych i wielu innych, pominiętych w niniejszym felietonie trudności mamy już wybitne dzieła filmu autorskiego i wybitnych realizatorów, twórców własnej, artystycznej wizji świata, a nie tylko zrzecznych interpretatorów cudzych lub nawet swoich pomysłów. Do takich reżyserów należą niewątpliwie Bergman, Fellini, Antonioni, Godard, i inni. Rok 1962 przyniósł nam nowe świetne dzieło Bergmana „W zwierciadle” — dzieło, które zmusiło do milczenia krytykę wieszczącą kres wielkości szwedzkiego reżysera. Bergman jest filmowcem opętanym przez demony zamieszujące duszę ludzką. Dążąc wciąż do samych tematów miłości i nienawiści, życia i śmier-

ci, walki i rezygnacji, próbuje on znaleźć jakieś rozwiązanie dla losu człowieka. I to opętanie jest gwarancją jego indywidualnego stylu. Bergman stworzył swój niepowtarzalny świat, w który wchodzimy tak, jak w prozę Dosztojewskiego, czy Faulknera. Jego filmy są właściwie głosnym i widzialnym rozmyśleniem człowieka nad sobą samym. Człowieka, któremu na imię Ingmar Bergman i któremu na imię Człowiek w ogóle. Punktem wyjścia filmu autorskiego nie powinien być problem, jako taki, ale właśnie pasja, opętanie reżysera, które staje się problemem dla innych.

Inny opętany to Antonioni. Tegoroczne „Zacmienie” kontynuuje zarówno problematykę jak i nowatorskie metody narracji tego reżysera. Gęstość i nasycenie świata bergmanowskiego przeciwstawia Antonioni styl niezwykle wyrafinowany, subtelny, utkany z niedopowiedzeń, przemilczeń i podtekstów. Bergmana pasjonuje metafizyka, Antonioniego moralność. Bergmana człowiek w ogóle, Antonioniego człowiek współczesny, człowiek lat sześćdziesiątych XX wieku.

Ostatni film reżysera francuskiego „nowej fali” Jean Luc Godarda „Przeżyć swe życie” znamionuje dalsze ogniowo filmowe autorskie. Godard nie buduje filmu w sposób tradycyjny. Jego dzieło oscylujące na śliskiej granicy melodramatu jest ciągłym poszukiwaniem odpowiedzi na pytania dręczące twórcę, nieustanną improwizacją, której celem jest ujawnienie prawdy. Inny bardziej emocjonalny, bardziej liryczny typ filmu autorskiego reprezentuje znakomite „Dzieciństwo Iwana” Tarkowskiego.

Oczywiście, problem filmu autorskiego, który bardzo ugruntował ostatnio swe pozycje, zwłaszcza w kinematografii francuskiej i włoskiej nie wyczerpuje bilansu roku 1962. Do sprawy tej jeszcze powrócimy.

mieszanka

FILMOWA

NAJDŁUŻSZY DZIEŃ

Przed kilkunastoma dniami w jednym z największych kin Paryża odbyła się galowa premiera amerykańskiego filmu „The Longest Day” („Najdłuższy dzień”). Przybyli na nią ministrowie, politycy i dyplomaci.

Przed ich oczyma przesunął się jeszcze raz dzień 6 czerwca 1944 r., powiła wspomnieniami i wielu spośród widzów opuszczało kino z niewesołymi minami. Szczególnie ci, którzy są najgorliwsiymi rzecznikami przyjaźni francusko-niemieckiej gorzko żalowali, że dopuszczono do tak wielkiego rozgłosu premiery, ponieważ przypominała ona o wciąż żywym niebezpieczeństwie niemieckim.

* * *

6 czerwca 1944 r. hitlerowski marszałek Rommel stojąc na wzgórzu, obserwując krwawe zmagania na plażach powiedział: „Pierwsze 24 godziny inwazji zdecydują o jej rezultacie. Dla nich i dla nas to będzie najdłuższy dzień”...

Rommel nie przypuszczał wówczas, że jego słowa po kilkunastu latach użycie będą jako tytuł powieści, a potem filmu.

„Najdłuższy dzień” zrealizował amerykański producent Zanuck i trzeba przyznać, zabrał się do pracy bardzo solidnie. Miał on ambicję stworzenia czegoś, co będzie nieomal dokumentem historycznym tego krwawego dnia inwazji i w tym charakterze odbiegał będzie od seryjnie produkowanych fars, których bohater nieomal w pojedynkę zwycięża całe tłumy. Zanuck pokazał, iż „najdłuższy dzień” wymagał ogromnych ofiar po obydwu stronach i zwycięstwo nie przyszło wcale łatwo.

Film charakteryzuje się ogromnym rozmachem. Zaangażowano do niego prawie 60 znanych aktorów, m. in. Johna Wayne’a, Roberta Mitchuma, Kennetha More’a, Henry’ego Fondę, Jean’ego Louisa Barault, Mel’ę Ferrerę i Curt’a Jurgensa. Sześciu reżyserów pracowało w różnych miejscowościach — jednocześnie, w oparciu o scenariusz Jamesa Jonesa, autora słynnej powieści „From Here to Eternity” („Stąd do wieczności”).

W scenach batalistycznych wzięło udział tysiąc brytyjskich spadochroniarzy i prawie cała szósta flota amerykańska.

Wszystko to razem — rozmach, dążenie do realizmu i chęć wiernego odwzorowania wypadków — sprawia, że w swoim rodzaju „Najdłuższy dzień” może być uznany za wzorcowy.

Opr. H. W.

odgłosu

str. 3



Jeanne Moreau

DO MŁODYCH NAUCZYCIELI

Rozpoczęliście w tym roku pracę nauczycielską i z tej przyczyny w DNIU NAUCZYCIELA pragnę Wam przesłać najserdeczniejsze pozdrowienia.

Do zawodu tego na pewno przywiodło Was umiłowanie dziecka i jestem przekonany, że umiłowaniu temu pozostaniecie wierni. Niech ono służy doskonaleniu własnej Waszej pracy i pogłębianiu znajomości psychiki Waszych wychowanków.

Piękny i zaszczytny jest zawód nauczyciela. Wychowankowie i uczniowie Wasi pragną widzieć w Was, w Waszej sprawiedliwości, szlachetności serca i mądrości ideał człowieka godny naśladowania.

Przeplwać odtąd będą wokół Was co roku jak fale nowe pokolenia młodych ludzi, wciąż nowych, bo przecież psychikę ich kształtować będą ciągle zmieniające się warunki życia społecznego, obyczajowego i kulturowego. Dlatego znajomość istoty owych przemian jak i mądra

miłością nacechowane spojrzenie dostrzegające zmiany w psychice dziecka niech zawsze będą u podstaw Waszej pracy wychowawczej.

W roku bieżącym DZIEŃ NAUCZYCIELA jest ściśle związany z XXV rocznicą strajku nauczycielstwa polskiego. Strajku, który był protestem przeciwko próbom poniewierania godności nauczyciela przez ówczesne faszystowskie władze. Bądźcie godnymi spadkobiercami najlepszych tradycji nauczycielskich: umiłowania postępu, braterstwa wszystkich ludzi i poszanowania godności każdego człowieka.

Całym sercem życzę Wam, byście pracą Waszą zdolali zaskarbić sobie wdzięczność swych wychowanków i ich rodziców, a Wam osobiście — niech da ona głęboką radość w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI
Kurator Okr. Szk. m. Łodzi

Łódź, w Dniu Nauczyciela 1962 r.

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z DOC. DR. SROCZYŃSKIM

Dalszy ciąg ze str. 2

tym zagadnieniem zaliczana jest przez Polską Akademię Nauk do problemów szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej.

— Wracając do drugiej grupy prac naukowo-badawczych zakładu dla potrzeb przemysłu cukrowniczego przypomniał mi się dowcip Wiecha o ultradźwiękowych metodach produkcji czekolady. Nas interesują jednak tym razem nie dowcipy, a naukowe fakty. Jak to jest z tymi ultradźwiękami, Panie Profesorze?

— Nie znam tego dowcipu, ale jeśli taki powstał, znaczy to, że wiechowski pan Piecyk jest dobrze zorientowany w tej dziedzinie nauki. Konkretnie zakład nasz prowadzi prace naukowo-badawcze nad zastosowaniem ultradźwięków do kombinowanego konszowania cukru i czekolady. Stosujemy tu ultradźwięki od 500 tysięcy do miliona drgań na sekundę. Czekolada poddawana takim drganiom uzyskuje szybciej (w ciągu kilkunastu sekund) właściwości organoleptyczne takie jak smak, aromat itp. nie gorsze od uzyskiwanych w cią-

gu 24 godzin konszowania w tradycyjnych aparatach. Opracowujemy też właściwe ustalenia warunków dla produkcji czekolady i kurytury służącej do oblewania — galanterii czekoladowej.

— Od jak dawna zajmuje się Pan Profesor tymi problemami?

— Pracą naukową od 1949 roku, ale pracę badawczą miałem możliwość prowadzić dużo wcześniej jako naczelny inżynier i następnie dyrektor krochmalni.

— I na zakończenie pytanie nieco innego kalibru. Czy w związku z tego rodzaju pracami nie nabrał Pan Profesor awersji do czekolady?

— Wręcz przeciwnie. Bardzo lubię ten przysmak, chociaż w ograniczonej ilości.

— Jaką przyszłość wróży Pan naszemu przemysłowi cukrowniczemu?

— Wyroby naszego przemysłu cukrowniczego mają dobrą markę na dolarowych rynkach. Myślę, że przy pomocy nowych technik wytwarzania, nie tylko nie damy zepchnąć się z tego miejsca, ale w przyszłości zdolamy poważnie zwiększyć eksport tych produktów.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA



Fortyk Ermilażu

W osiemnastym ROKU PO WOJNIE

Dalszy ciąg
ze str. 1

ta. Bezценne zbiory sztuki wywiezione lub spalane przez najeźdźców z hackenkreutzami. Pomnik Puszkina, do którego ćwiczyli się w strzelaniu.

W drodze do miasta widzi się jeszcze resztki zarośniętych lejów po pociskach, rowów strzeleckich, betonowe zapory przeciwczołgowe. Dotąd doszli. Mias to widoczne, że tylko ręką sięgnąć, 300 dni trwało jedyne chyba w dziejach obłą-

żenie. Szczególnie w pierwszym okresie miasto zdane wyłącznie na własne siły, obumierające z głodu, nekane ogniem artyleryjskim i nalożonym dowody niezwykłego heroizmu. Nasz przewodnik tow. Żenia, absolwent polonistyki Uniwersytetu Leningradzkiego rozpoczął w tym czasie naukę w szkole. Tak! Widziałem zresztą autentyczne ogłoszenia o koncertach, jakie dawali w tamtych dniach leningradzcy muzycy.

Nasza towarzysząca, dr che mil, członek Akademii Nauk była niemal w stanie agonii, kiedy „drogą życia” przez jezioro Ładoga wywieziono ją w głąb kraju. To nie, że dziś ta siwiuteńka pani wygląda na lat ok. 70 choć ma tylko 42, to nie, że jej mądry, pogodny uśmiech jest przecież jakiś zimacony, jakby zblakany...

Wreszcie — tegoż dnia Ermilaż.

Jedną z największych galerii świata. Podobno, gdyby każdemu eksponatowi poświęcić 1 minutę, zwiędzenie musiałoby trwać 9 lat: malarstwo holenderskie: Rubens i van Dyck, malarstwo francuskie, włoskie: Leonardo i Fra Angelico i wielu, wielu innych, których spamiętać nie sposób, impresjonistów francuscy: Gauguin, Matisse, van Gogh i Picasso, wystawa sztuki chińskiej i... „kultura materialna” dawnej Rosji (prze bogata kolekcja ubiorów, sztuka złotnicza), nie przedstawiająca większej wartości artystycznej, ale jakże charakterystyczna galeria wodzów z okresu najazdu Napoleona z Aleksandrem I, Kutuzowem i Barclay de Tolly...

Trzeciego dnia udaje mi się wyrwać nieco czasu z zaplanowanej marszuty na lażę po mieście. W odróżnieniu od Moskwy — dużo młodzieży, bardzo podobnej do naszej. Na ulicach — ruch. Mowy nie ma, by ktoś przebiegł jeźdźcą poza skrzyżowaniem. Z oświetleniem — niezupełnie dobrze: Newski Prospekt — a jakże jaśnieńki, neony, rozświetlone wystawy, ale już na bocznych ulicach cisza, spokój, żółtopomarańczowe słabe światła. Niczym, z przeproszeniem — w Szadku czy w Pajęcznie. Metro — nowoczesne, szybkie, pozbawione ciężkich, efektownych zdobień, jak to pierwsze moskiewskie. Ludzie — spokojni, uprzejmi. Celowo — niczym przysłowiowy Żyd o drogie pytam się na każdej stacji, jak tu dostać się do tej „opery”. Na każdym kroku spotykam się ze zniechęcającą wręcz uprzejmością. Każdy udziela informacji, gdzie wysiąść lub przejechać się. Jakis ubogi ubrany jegomość, który nie orientuje się ani w położeniu teatru, ani ulicy — jest tak tym strapiiony, że i mnie z kolei wprawia w poważne zmartwienie. Przygodna para młodych ludzi — inicja-

pan Tadeusz obchodził tego dnia imieniny. W rewanżu za życzenia postawił na każdym z naszych pięciu stolików butelkę szampana, a że to był właśnie wieczór pożegnania znalazło się i po trosze wódki. Oczywiście, zabrzmiało nieuchronnie „Sto lat!”, a orkiestra „restoranu” naszej „Baltickiej gastinicy” uciela modną aktualnie w Leningradzie „Cichą wodę”, a potem jakieś z lamusa wygrzebane łzawo-namiętne tango Petersburskiego. Rozpoczęły się tańce. Pod ścianą stała obsługująca nasz stół kelnerka, choć niemłoda — przystojna brunetka. Uśmiechała się do tego gwaru wesołej zabawy. Poprosiłem ją do tańca. Zachnęła się jakby przebudzona, chwyciła jakąś serwetkę, przeprosiła mnie, że ona tu „na służbie” i wyszła. Po pewnym czasie wróciła, przecież, widziałem z daleka, jak rozmawia pochylona z jedną z uczestniczek wycieczki. W pewnym momencie dyskretnie odwróciwszy się tyłem do sali otarła z oka łzę. Później dowiedziałem się treści tej rozmowy. Syn jej, jedyny który w 39 roku wstąpił do szkoły muzycznej, w czasie wojny dostał się do obozu koncentracyjnego, powrócił wprawdzie do kraju, ale katowany straszliwie — zwariował. I teraz nie poznaje nawet jej. Nieszczęsna matka odwiedza go co tydzień w szpitalu, a jej ukończony nad życie Sasza w kącie wciśnięty patrzy wokół jakimś ni to dziwnym, ni to spłoszonym czy nieufnym spojrzeniem i — milczy, ani jednym słowem do niej się nie odezwie. I tak już trwa 17 lat.

Zawsze ilekroć tu w hotelu młodzi ludzie tańczą i bawią się, to jej tak bardzo się to podoba, ale jednocześnie zawsze taka zabawa przywodzi jej na myśl Saszę...

I w tej chwili widzę cię, nieznaną z nazwiska matko, jak wybierasz nie widzącym spojrzeniem poza tę rozbiwaną ciżbę, ponad to miasto olbrzymie, ponad tysiąc lat światła roziskrzony Newski Prospekt, i ponad ten ogromny cmentarz — mauzoleum, gdzie na „sen nieprzespany” ziemia rosyjska 620 tys. utrudzonych istnień przytuliła, jak spojrze niem stęsknionym Saszę swego przypadaś w nadziei rozpaczy, że może oto nareszcie usłyszysz przez niego wypowiedziane najdroższe, jedno, jedyne słowo: — Mamo!

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

informacje i zaczepki

W maju przyszłego roku odbędzie się w Łodzi Międzynarodowy Festiwal Kulturalny Studentów. Gościć będziemy około 50 zespołów artystycznych. Już dzisiaj studencki aktyw kulturalny Łodzi przygotowuje się do tej gigantycznej imprezy. Ze swej strony radzimy zaangażować kilku poliglotów, aby nie miały miejsca gafy, jakie zdarzyły się w Warszawie, gdzie na obcojęzycznych transparentach znalazło się sporo... błędów gramatycznych.

W związku ze zbliżającą się setną rocznicą Powstania Styczniowego Muzeum Narodowe w Nieborowie koło Łowicza prosi o przesyłanie wiadomości o powstaniach, ich walkach i mękach oraz o udostępnienie fotografii weteranów 1863 roku, dokumentów, listów i innych pamiątek rodzinnych.

„Księgowo-kosztowca” poszukuje pewna łódzka instytucja. Nie wiemy co to znaczy, wiemy natomiast, że instytucji tej przydałby się, jeśli nie magister polonistyki, to przynajmniej ktoś z maturą. Kosztowca odnotowujemy jako jeszcze jeden kwiatek z językowej łączki.

Niedawno otwarto w Sieradzu ogólnopolską wystawę „Pieśń o ery kosmosu”. Honorowy protektorat nad wystawą objął urodzony w Sieradzu uczonek radziecki Ary Sternfeld. Ekspozycja liczy około 50 tysięcy znaczków dotyczących zagadnień związanych z lotami kosmicznymi.

W jednej z łódzkich gazet podano, że autorami filmu pt. „Rodzina Milczaków” wg sztuki Jerzego Lutowskiego są Jerzy Lutowski i Jerzy Wyżomirski. Film istotnie powstał wg scenariusza Lutowskiego, ale realizowali go Jerzy Wyżomirski i Janusz Wejchert. (Nawiasem mówiąc Wejchert reżyserował „Ogłoszenia” przez trzy lata kolumnę filmową).

W Łodzi, przy pl. Dąbrowskiego istnieje Spółdzielnia Pracy „Styks”. Styks, to jak wiadomo, strumień w mitologii Arkadii. Jego wodzie starożytni przypisywali szkodliwą dla zdrowia właściwość. Czy zetknięcie się z działalnością łódzkiego „Styksu” wywołuje podobne efekty? Poza tym w mitologii greckiej Styks jest rzeką świata podziemnego, co daje znowu powód do złośliwych aluzji pod adresem spółdzielni. Podejrzamy, że projektodawca tej nazwy był satyryk dużej klasy.

J. W.

Bliskość wodospadów Niagary zapowiada nie tyle odległy huk, ile widoczną z daleka chmura pyłu wodnego. Kiedy wychodzimy z wozu, pył ten osiada na naszych włosach, rzesach i wkrótce wilgotna staje się skóra naszych rąk i twarzy, nasza odzież także. Parkujemy wóz obok jakiegoś hotelu, Niagara nie jest bowiem pozostawionym w dzikim stanie rezerwatem przyrody ale opanowaną przez cywilizację i umiejętnie wykorzystaną przez zmysł komercyjny tuziemców miejscowości, gdzie przewijają się tysiące turystów z całego świata. Jedną część miasteczka znajduje się po stronie amerykańskiej, w stanie New York, druga — w kanadyjskiej prowincji Ontario. Budowa największej na tym kontynencie hydroelektrowni, mająca wykorzystać w jednej trzeciej części siłę wód, obliczaną w ogóle na sześć milionów kW, została zapoczątkowana w ub. r. właśnie tu, nad Niagarą, o dwa kilometry powyżej progu wodospadu. Ciekawe, że w dzień, zwłaszcza latem, gdy wodospady są przedmiotem zainteresowania turystów, elektrownia nie odprowadza wód do swego kanału, a to po to, aby nie zmniejszać efektywności potężnych wodogrzemotów. Dla wygody turystów pobudowano tu wszędzie promenady, parkingi, mosty i pomosty, przystanki stateczków, na których podrywa się w dolnym korycie pod huczącą ścianą wód; wzniesiono hotele, wytworne lokale, kioski z pamiątkami, żywo przyominającymi nasze „zakopiańskie pamiątki”. Bulwary wokół wodospadów są obmurowane, upiększone wystrzyżoną starannie zielenią. Wystarczy jednak odwrócić się od tych „zdobyczy cywilizacji profanujących Matkę Przyrodę”, podejść do kamiennej bariery, ubezpieczającej stromy skalny brzeg — a widok i tak zaprze ci dech w piersi. Przez dwa ramiona wodospadu, rozdzielonego wyspą Goat Island, z prostopadłych ścian o wysokości stu metrów wali się Niagara setkami strumieni, kaskadami strug, rozbrzmianymi lukami, rozwiechrzonymi bieżami śnieżnymi, w spienione w dołach koryto, ziełone rumowiskiem głazów; ta masa wód uderza z wściekłą siłą o sterujące usypiska, wzniesione młynem pyłu, unoszący się wysoko nad kotłowniskiem, nad brzegami rzeki. Promienie słoneczne rozszepiają się w tej chmurze pyłu, natura zawieszona nad wodospadami wieczna tęcza, której siedmiobarwny refleks opalizuje w pianach i huczącej ścianie wodospadu.

Groźne piękno tego zjawiska odczuwa się mocniej z pokładu stateczku, którym podjeżdżamy (w żółtych nieprzemakalnych kombinacjach) pod kłębowisko wód, ocierając się niemal o szklista ruchoma ścianę. Wieczorem iluminowane wody Niagary mienią się wszystkimi barwami; są skołowaną krwią, spienionym kobaltem, błękitnymi kłębam dymu i fioletoowymi oparami unoszącymi się nad polyskliwą czernią niecki dolnej Niagary. Widok zaiste piękny, nader efektowny, nawet można rzec — obłaskawiony; steatrolizowany. To też kiedy odchodzić od bariery; gdy na skrzyżowaniu jezdní dostrzegam tłumek umundurowanych boyów i na ganiaczy hotelowych, gdy obok malutkiego powoziku zaprzężonego w kucyka Panny przesuwa się wydłużone pyski i ogony Cadillaców, Fordów, Packardów — muszę się uszczepić, aby sobie nie uprzytomnić, że nie jestem w kinie, na kolorowym panoramycznym filmie, ale naprawdę na drugim kontynencie, nad prawdziwą rzeką Niagarą, nad tym wodospadem, który postanowiłam sobie zobaczyć kiedyś, dawno temu, jeszcze na lekcji geografii, a którego widok teraz, może na skutek tego świetnego, barwnego, wymuszanego kinowego retuszu, napelnia mnie leciutkim uczuciem zawodu. Ale takiego wesołego zawodu; tym śmieszniejszego, że w chwili, gdy na skrzyżowaniu gąsnie czerwone światło i ja wyrwam się na jezdnię pierwszą, słyszę nagle za plecami głos Irlandki, naszej współtowarzyszki podróży:

— Trzymaj ja, Bonny, czy ona nie chodzi na światłach?

— O, tak — odpowiada

Bonny — w Polsce są światła drogowe.
— Really? — dziwi się tamta.
— Of course — zapewnia ją Bonny.

Potem, kiedy już będę w Chicago, zobaczę wodospady Niagary po raz drugi i wtedy widok ich wywrze na mnie większe wrażenie. Będzie to w CINERAMIE, w programie „Siedem cudów świata”. Ten prawdziwie „fantastic” wynalazek, oparty na stereofonicznym dźwięku (dźwięk z sześciu różnie roz-

cię tylko kina), ale ręce nasze były wczepione w poręcz fotela. Jakiś chłopczyk, siedzący w rzędzie tuż przed nami, krzyknął wtedy: „Mama, trzymaj mnie, spadnę, utopię się!”, a gdy samolot nad wodospad, mały wrzask: „Ja wysiadam! Wody! Niedobrze mi!”

Patrząc potem w CINERAMIE na inne cuda świata — Rzym, Rio de Janeiro, Indie, Japonię, Afrykę — oglądaliśmy to, czego nie zobaczylibyśmy, gdybyśmy nawet własną stopą przemierzali te lądy. Kamera Thomasa Lowella, wynalazcy CINE-

albo budowy nowych. Tylko 40 spośród 17.000 kin amerykańskich może wyświetlać dwa razy dziennie film krecony systemem Cinerama. Były już po niej wynalazki inne, nowsze systemy kręcenia szerokokranowych filmów: CINEMIRACLE, PANVISION, CINEMASCOP (jedna kamera, jeden aparat projekcyjny), zdawało się, że wynalazek Lowella nad którym pracował 40 lat (zdjęcia do „Siedmiu cudów świata” trwały 5 lat, kosztowały 5 milionów dolarów) będzie tylko etapem w rozwoju szerokokranowego filmu, ale jak się wydaje czas

k którego feeryczna, przeświełista, błękitnozielonkawabarwa — to rozżarza się, to przygasa. Potem, gdy podjeżdżamy bliżej okaże się, że to jest właśnie ekran, letniego kina. Za chwilę wzrok nasz wyluska z ciemności coś jakby polyskliwą tafłę jeziora; nie, to w świetle aparatów projekcyjnych i odbłasku ekranu błyszczą dachy samochodów, ustawionych rzędami. Jeszcze kilkadziesiąt metrów a spostrzemy parometrową odnogę szosy, prowadzącą do łuku bramki z napisem świetlnym „DRIVE IN”. Wjedziemy w tę bramkę i potem, nieco da

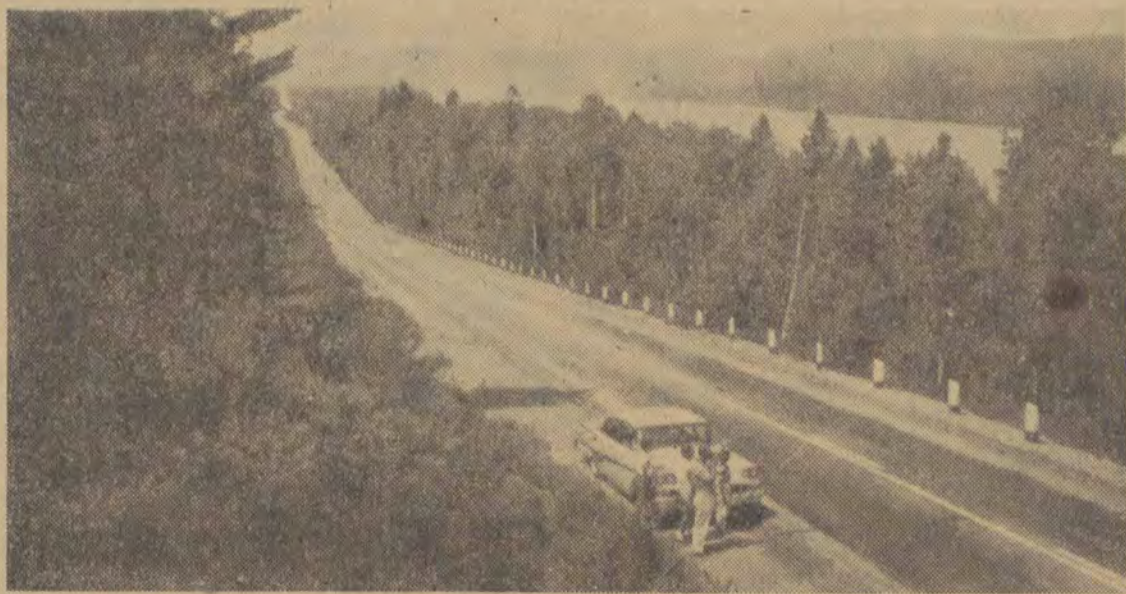
le zostawmy w spokoju parę. Jedźmy dalej.

Mimo nocy upał nie zmalał; właściwie to nie upał, a lepka duszność. Nie odczuwamy jej tak bardzo, jadąc przy zapuszczonych szczelnie szymbach i z ciałem działającym aparatem klimatyzacyjnym. Ale wystarczy tylko stanąć, otworzyć drzwiczki, ot żeby wysiąść przy jakimś motelu; czy stacji benzynowej, a wilgotne parne gorące natychmiast okleja się dokoła naszych znużonych długą podróżą ciał. Wprawdzie poprzednia noc przespaliśmy się świetnie w największym hotelu świata — w The Royal York w Toronto (1.600 pokoi, 2.200 miejsc w sali bankietowej, parking na 400 aut), ale ileż to już godzin jedziemy przez tę ciemność, z której wybliskują tylko mijane stacje, neony moteli i restauracji Johnsonów rozrzuconych po całym kraju. Kiedy wreszcie przystajemy przed jedną z nich aby coś zjeść i kiedy widzę jak niechętnie, mimo zgieczenia, oni wszyscy wychodzą z aut — nagle zaczynam rozumieć, dlaczego powiada się o Amerykanach, zwiedzających obce kraje, że oni by najchętniej wszystkich oglądali nawet antyczne ruiny, nie wysiadając z autokarów, a jeśli wysiadając to na tyle tylko, ile czasu trzeba do zrobienia zdjęć. Po swoich doświadczeniach przypuszczam, że właściwie im niechęć do poruszania się dolnymi kończynami płynie nie z tego, że w tym ciężkim klimacie trochę chłodu można zażyć właśnie pedałując autem, kiedy powiew powietrza daje wytchnienie, albo gdy ma się wóz chłodzony. Nim uciekają z dusznych, przesycanych spalaniem miast, pakują się z kolei gdzieś za miastami do chłodzonych hoteli, moteli, country clubów, by tam chłodzić z kolei swoje żołądki: woda z lodem, whisky z wodą i lodem, martiniocetami z lodem, mrożoną kawą i mrożonym mlekiem, ice-creamami i fruitocetami podawanymi w pucharach na warstwie lodu, sokami pomarańczowymi z pływającymi w nich kostkami lodu i mrożonym „pajem” i zamrażanym piwem i lodowatą coca i pepsi-cola...

WANDA KARCZEWSKA

Szkice amerykańskie (VI)

OD NIAGARA FALLS DO LAKE MICHIGAN



stawionych mikrofonów nagrany na taśmie) i symultanicznym obrazie (3 oddzielne filmy wyświetlane jednocześnie z trzech projektorów) napelniał mnie zabawnym przeświadczeniem, że w przyszłości, aby poznać zmysłową urodę świata — (nie, oczywiście, pejzaż wewnętrzny innego człowieka) — wystarczy nam wyprawa do... cineramicznego kina, co szlująca znacznie mniej wysiłków (nie mówiąc o mamonie) niż podróż dokoła świata. Jeżeli w panoramie mówi się, że daje widzieliśmy wrażenie „jakby był w środku obrazu”, to na filmie cineramicznym uświadamiamy sobie, że tamto po równanie było tylko... porównaniem. Cinerama zagarnia człowieka całkowicie ze wszystkimi jego zmysłami (brakuje tylko oddziaływania na zmysł smaku i powonienia; próby w tym zakresie też były robione, ale okazało się, że widzą, że wszystkie woni najbardziej lubią zapach świeżego powietrza). Widząc w chicagowskiej CINERAMIE Niagarę, zdawała mi się sprawa jak mała łutka jej wycinek miałam w oczach, oglądając ją z brzegu kanadyjskiego. Tu, w kinie, widziałam oba wodospady ze wszystkich stron, z każdego zakątka, z pozycji i z każdej perspektywy. To ja leciałam samolotem nad szerokim rozlewiskiem rzeki, widząc jej brzegi i dalekie równiny; niemal dotykałam lustra burej rzeki piersią samolotu, jakby własną piersią nurzałam się w niej prawie. Skrzydło moje, nie samolotu, jakby to była moja dłoń, muskało skraj przepaści; natatywałam na wodogrzemoty i potem byłymy pod nimi, w owej nędzy między progiem wodospadu a ścianą Niagary walając się w dół; byliśmy niemal w środku tej masy wody, osaczeni hukami, który rozlegał się nad nami, przed nami, za nami, w naszym mózgu niemal. Potem znów, gdy samolot podlatywał z drugiej strony Horseshoe Falls i najechał na Tęczowy Most — dawało nas przerażenie; jeszcze chwila a uderzymy w przesłania. Pochyłaliśmy głowy, kuliliśmy się w krzesłach, zamykając oczy. I dopiero gdy pilot nagłym podrutem podrywał samolot ponad most — odetchnęliśmy z ulgą, śmiejąc się z samych siebie (to prze-

RAMY, wleciała się wszędzie ukazując widzieliśmy, świadomie greckie, „buddyzmie, ukryte przed okiem przeciętnego turysty miejsca kultów religijnych, jak Monkey Temple w indyjskim mieście Benares, gdzie roi się od setek świętych małp; tańce Japonki z parasolkami w starożytnych, specjalnie kulturowanych ogrodach, czuliśmy niemal powiew jedwabnych kimono, dotyk rąk pięknych tancerek, miłośników kwiatu lotosu, potem znaleźliśmy się w glinianych wsiach afrykańskich na dachu płaskowyzu tego lądu, widzieliśmy pochodzę i tańce rytualne plemienia Watutsi z ich, najlepszym na całą Afrykę, tancerzem Butera; dzięki, namierzeniu rytmu tańca i muzyki wprawa w ekstazę widzów Cineramy. Butera w akrobaticznych skokach ponad zjeżdżającymi wólcami wojowników Watutsi zdawało się unosić w powietrzu tuż nad naszymi głowami. Potem przenosiliśmy się na pustynie Arabii, poznawaliśmy życie i obyczaje plemion tego kraju, jechaliśmy przez skwar pustyni karawaną wielbłądów, na grzbiatach tych zwierząt (ten chłopczyk przed nami wołał: „Mama, spadnę, czemu on się tak podo mną kołysze?”) Podglądaliśmy życie plemion, podpatrywaliśmy obyczaje. Którego z przeciętnych turystów potrafiłby dostrzec w niedostępne masywy górskie Afryki, w sere pustyni, czym potrafiłby wkupić się w taski i zaufanie naczelników i szefów dzikich szczepów, aby pokazali mu to, co udostępnił kamerze tej ekspedycji amerykańskiej, której gospodarcza penetracja krajów gospodarczo zaniedbanych przynosi niejednokrotnie „krótkom” i władcom tych krajów miliardy dolarów do ręki.

CINERAMA jest już nieco podstarzała nowością, istnieje bodaj 10 lat; na przeskoki jej rozpowszechnienia stoi jej skomplikowana maszynaria, wymagająca przebudowy starych kin,

pokazał, że jeśli chodzi o ukazywanie cudów przyrody, poznawanie obcych krajów — mało co dorównuje Cineramie. W tej chwili w New Yorku buduje się pięć nowych kin cineramicznych.

Oczywiście Cinerama itp. typy szerokokranowych filmów mało podnoszą wartość istotnych artystycznych walorów sztuki filmowej, technika zdjęć nie pogłębia wartości myślowej dzieła, warstwy psychologicznej tekstu, jego walorów literackich, kompozycyjnych. Ale wobec upodobań szerokiego widza, również i naszego, a szczególnie amerykańskiego, który uwielbia to co jest duże, pełne, przygniatą bogactwem i rozmiarami — i wobec rozpowszechniających się tam bardzo szybko ko tzw. letnich kin o dużych rozmiarach ekranów — tam szczególne widoki powodzenia i szanse dalszego rozwoju.

Te wielkie płachty ekranów wydają się być specjalnym miejscem dla filmu operującego szerokim plenerem i masami statystów. Powodzenie tych kin na powietrzu wydaje się być szczególnie uzasadnione w tamtym kraju, kraju o wielomiesięcznym ciężkim, gorącym i wilgotnym upale, kraju o dużych odległościach między miastami centrami filmowo-teatralnymi, miastami o zatłoczonych zresztą przez pojazdy ulicach i o niewystarczającej ilości miejsc do parkowania. W kinie amerykańskim pozatym film trwa przeciętnie 3-4 godziny, składają się na to przeważnie dwa filmy (1 dramat, jedna komedia) albo film dwuseryjny — z przerwą, wykorzystywaną na rozprostowanie nóg, kupno słodczy, napojów chłodzących, prążonej kukurydzy tzw. popcorn, na odwiedzenie szaleczki. Jasne, że w takim parnym klimacie przyjemniej jest spędzić te 4 godziny na powietrzu, niż w zamkniętej sali kinowej, w rozżarzonym mieście, pełnym spalin i gryzących dymów.

Zajrzyjmy na chwilę do takiego kina. Oto opuściliśmy już Niagara Falls, wróciliśmy na highway prowadzącą do Detroit. Jest znowu ciemność gęsta jak oliwa i nagle po prawej stronie szosy, wysoko na niebie pojawia się w ciemności tajemniczy świecący prostokąt,

leżący za nią, wsunęliśmy się autem pomiędzy dwie budki-kasy; wystawimy ręce z pieniędźmi przez okna samochodu, z okienek kas podadzą nam bilety i resztę i znowu start; bo już napiera na nas od tyłu szereg innych aut. Objeżdżamy „widownię” łukiem pod ekranem, upatrzymy w rzędach jakiegoś wolnego miejsca; jest, znaleźliśmy; skręcamy więc w przejście między rzędami i wklonowujemy się między dwa słupki. Na tych słupkach wiszą na przewodach słuchawki, odczepiamy je, wkładamy na uszy, chwytamy dźwięk i — już jesteśmy w kinie, nie wysiadając z wozu. Ale niekiedy elekawszy widok ma się nie przed sobą, a z boku. Zerknijmy w prawo; stoi tam czarny „Dodge”; na przednim siedzeniu dwie damy patrzą na ekran, jedna pali papierosa, druga gryzie popcorn, na tylnym siedzeniu młoda matka karmi „bejbika”, zmienia mu pieluszkę, przebiera w nocne kaflanki i układa dziecko do snu, zerkając cały czas na ekran. Ich „Dodge” jest więc trzyosobowym miejscem kinowym, jest także wózek dziecięcy i łóżeczkiem; pozwala matce jednocześnie pilnować dziecko, oglądać film i zaościć kilka dolarów na „baby-sister”, czyli na osobie, wynajmowanej zazwyczaj do pilnowania dzieci na kilka godzin, gdy rodzice wyjeżdżają do kina, teatru lub na wizytę.

Ala auto służy tutaj jeszcze czemuś innemu, spójrzmy na lewo. Ten mały europejski wózek zdaje się, że to „Cytrynka”, jest ruchomą garsonierą, gniazdkiem miłości. Para młodych w nim zajęta jest nie oglądaniem filmu, ale wzajemnym badaniem swoich szczegółów anatomicznych; jeszcze chwila a znikną z przedniego siedzenia, kryjąc się za firaneczkami tylnego, gdzie spokojnie będą robili to, co by robili pod strachem, zaparkowanego wóz w jakiejś ustroń bocznej drożce, gdzie by ich wytopiła policja, albo napadli chuligani, którzy w najlepszym wypadku chichotami i wyciem wypłoszą parę, a bywa, że dziewczynie poturbują boy-frienda, a z nią zrobią to, co zwykły robić bandy łoburów z bezbronnymi dziewczętami zdanymi na ich łaskę i niełaskę.

I znowu jazda. Za szybami przesuwa się brzydkie miasto Detroit, duszne, fabryczne z jarmarczonymi reklamami; te reklamy zakrywają całe domy. Teren robi się coraz bardziej płaski, równiny, coraz częściej widać czerwony odbłask hut, żółte płomienie buchają z kominów rafinerii. Późna noc stajemy w jakimś dziwnym mieście, nad którym wiszą luna pobliskich hut. To jest Gary w stanie Indiana. Mimo rozżarzonych świateł, oświetlonych szyb wystawowych, mimo spórego ruchu na ulicach — (ludzie śpią na nocne zmiany, wracają z pracy do domów) — mimo polysku szyb, lakierów, niklu, jest tu jakiś ciemny, jakby jakiś dziwny cień powlekał to miasto.

— Bonny — powiedziałam, dlaczego tu tak ciemno?

— Przyjrzyj się tylko do brzozi miastu. Tu nie zobaczysz żadnej białej twarzy. Tu mieszkają sami czarni.

Przyglądam się; ulica ma czarną, za kierownicami — czarni; przez szybę restauracji i barów widać tylko czarnych; przy kioskach z napojami, czarni, Czarne kelnerki czarnymi rękami podają czarnym gościom napoje, gorące parówki; para zakochanych czarnych tuli się w jakiejś wężce domu, obejmując się czarnymi rękami i przyściskając do siebie czarne usta.

Nasi dwaj biali mężczyźni wysiadają przy stacji benzynowej, biorą z automatu obok papierosy, przedtem przykują nam zamkniętą się dobrze na zatrask. Irlandka skwapliwie spełnia polecenie, nie bardzo rozumiejąc dlaczego, spoglądam na Bonny, pytam o czarni; dlaczego. Po chwili już wiem; z leku przed czarnymi, I teraz już wiem czemu na te wszystkie neony, światła, fajerwerki, na tę całą lakierowaną i błyszczącą barwność padł jakiś cień. Przyczyną tego nie był ciemny kolor skóry mieszkańców tego miasta, to przybliżyła się do mnie i nachyliła nade mną druga, ciemna twarz tego kraju, z ledwo wyzwalnymi dopiero przeze mnie zarysami dramatycznych, poplanych konfliktów rasowych, społecznych i obyczajowych.



„Chłop zafrasowany”

ADA KOPCIŃSKA

WYPEŁNIANIE NIE ISTNIEJĄCEGO MIESZKANIA

Przecież wolno zaprosić
mi drzewa
do pokoju co jest teraz nocą
na regałach rozłożyć ślady
naszych spotkań
kolorowe blaski
jakie mają nie raz jeden drzewa
— czy się o to nie pogniewasz?

Czy mi wolno sprowadzić
i cienie
w miejsce kropli — by strzelił
ich gótyk
kształt tych cieni
— to gałęzie drzewa
— czy się będziesz na mnie o to gniewał?

I postawię jeszcze tu pień brzozy
pod akwariem na maczanie
dłoni
na pieszczotę małych rybek lęku
liski rybek są zapachem drzewa
— czy się będziesz na mnie o to gniewał?

Powiesz potem:
— twoja twarz jest liściem
barwnym liściem
spadającym z drzewa
gdy on spadnie
w rozciągłości leśnej
w mchy
w porosty
— noworodek krzyknie
gwiazdę wzniosę nad koronę drzewa
spytasz cicho:
— czy się już nie gniewasz?



str. 6 **odgłosy**

WALDEMAR BABINICZ

PONIDZIE

Wędrowali od miasteczka do miasteczka: kolejarz, nauczyciel, pracownik instytucji spółdzielczej, instruktor organizacji młodzieżowej, kilku pracowników Zakładów Starachowickich, kierownik oddziału kultury, rzeźbiarz i działacz społeczny w jednej osobie oraz kilku innych. Dwie uczennice, by nie gorszyć opinii publicznej, czekały dyskretnie na wyniki poszukiwań i zjechały w ostatniej chwili już na samą dyskusję.

Takie były początki grupy, która związana umiłowaniem regionu, szczególnie kultem do poezji oraz chęcią pisania wierszy, szukała lokalu „z widokiem na przyrodę” w jednym z miasteczek Kielecczyzny.

Wreszcie znalazła schronienie w Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy, który uważała za swoją stałą siedzibę. I oto w Domu Rożnickim od dwóch lat systematycznie, raz w miesiącu zbiera się ta kilkunastoosobowa grupa młodych na z góry zaplanowane seminaria. Grupa przyjęła nazwę PONIDZIE od płynącej nieopodal, rzadko w poezji opiewanej Nidy, od Dygasińskiego, który na Ponidziu w Niegosławicach tworzył, opiewał piękno przyrody kieleckiej, chwalił ludzi tu osiadłych.

Wybrano zarząd, na czele którego stanął młody satyryk, reporter Rozgłosu Kieleckiego, która właśnie obchodziła dziesięciolecie swego istnienia.

Uchwalono manifest. Początkowo brzmiał jak Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela lub jak wiersz kolportowany ongi przez lubelskiego poetę Konrada Bielickiego „Boga nie ma, diabła nie ma, was nie ma; JA jestem”.

Później przykrojono nieco ten manifest do rzeczywistości, to jest do potrzeb i dysproporcji regionu.

Lubelska „Kamena” wyciągnęła rękę do „Ponidzia” i jeszcze przed zawarciem unii czterech województw wschodnich oddała do dyspozycji grupy całą kolumnę, na której też raz w miesiącu, niekiedy rzadziej, ukazują się utwory młodych twórców.

W ciągu dwóch lat nie ubył ani jeden członek grupy, aczkolwiek wiadomo powszechnie, że dojazd do Rożnicy nie jest łatwy, że np. z Ostrowca Świętokrzyskiego trzeba jechać aż siedem godzin by dotrzeć do stałej siedziby Ponidzia. A

w Ostrowcu mieszka m. in. Ada Kopcińska, która później długo musi usprawiedliwiać się przed kierownictwem internatu, wychowawcą i dyrektorem liceum.

Grupa jest wymagająca w stosunku do innych i do siebie.

Na każde seminarium każdy uczestnik musi przygotować recenzję przeczytanego utworu, eseju, krytyki literackiej, niekiedy świeżo wydanego tomiku. Godzinami toczy się dyskusja nad takim opracowaniem. Np. ostatnio omawiany tomik Symborskiej „Sól” wywołał długą, żarliwą polemikę.

Później kolejno czyta się utwory własne. Ileż ich znalazło się w koszu rożnickim! A były między nimi utwory, które doprawdy mogły zdołać niejedno poważne czasopismo literackie. Od wielu lat obcuje z młodymi, nigdy jednak nie słyszałem tak ostrej, tak bezlitosnej krytyki własnego twórcy.

I dopiero, kiedy wiersz został poprawiony, wygładzony i przyjęty przez wszystkich obecnych, czyta się go na forum. Z reguły forum to stanowią słuchacze Uniwersytetu Ludowego, uczestnicy seminarium dla inteligencji terenowej, zaproszeni goście. Wśród nich najczęściej Julian Przyboś, Jan Koprowski, J. Ozga-Michalski, J. A. Frasiak redaktorzy „Kamena” z Marią Bechczyce — Rudnicką lub, jak w roku ubiegłym, przedstawiciele „Polityki” z niezrównaną Marią Rutkiewicz i inni.

W najbliższych tygodniach ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego tomik Ponidzia. Będą w nim zawarte cenniejsze utwory z lat poprzednich, ale już dziś członkowie grupy utyskują, iż tomik wyjdzie przedwcześnie, bo właśnie są w zanzardzu wiersze lepsze, piękniejsze w formie, odważniejsze w treści.

PONIDZIE jest najskromniejszą, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać grupą młodych twórców. Jest też zapewne jedną z najbardziej uspołecznionych grup młodych, działających w kraju. Ileż to razy cały zespół wyjeżdżał do najbardziej oddalonych osiedli nie na spotkanie autorskie, lecz by pomóc miejscowej, ruchliwej grupie młodzieży w jej twórczych poczynaniach. Nie kiedy taka eskapada Ponidzia trwa dzień, a pomoc nie ogranicza się do zwykłych porad, lecz do solid

nej pracy dydaktycznej, pokazowej, jak to np. było w Lipsku nad Wisłą.

Ponidzie otrzymuje listy. Był taki miesiąc, że nadeszło aż kilkadziesiąt podań o przyjęcie do zespołu. I dziś jeszcze ciągle napływają nowe zgłoszenia. Łatwiej jednak przejść przez sandomierskie ucho igielne, niż zostać członkiem Ponidzia. Strzegą swoich praw założycielskich, wymagają od nowicjuszy dorobku, odczytania, kultury osobistej, twórczej postawy w środowisku. Nie bez trudu przyjęło ostatnio dwóch nowych członków: nauczyciela gimnazjum w Szczekocinach i pracownika resortu kultury we Włoszczowie. Dziesiątki innych wniosków odrzucono.

Jakie są perspektywy? Wiadomo, że w Kielecczyźnie mało jest twórców, można ich bez trudu policzyć na palcach jednej ręki. Czy Ponidzie będzie w przyszłości załącznikiem Klubu Literackiego lub może nawet oddziału Związku Literatów? Trudno przewidzieć. Jest rzeczą absolutnie pewną, że znaczna większość członków Ponidzia skutecznie wypełnia luki w życiu kulturalnym Kielecczyzny, że zachęca młodych ludzi do szukania twórczych, ubocznych, pozawodowych zainteresowań, że udowodniła, iż człowiek mieszkający na głębokim zapleczu może żyć tymi samymi kategoriami i tymi samymi treściami, co jego bliźni w oddalonej stolicy. Kto wie? Może nawet życie to ułoży sobie ciekawiej, głębiej.

Nie bez znaczenia jest współpraca doświadczalnej placówki wychowawczej w Rożnicy z Ponidziem. Wolno sądzić, iż zarówno Ponidzie, jak i Uniwersytet Ludowy korzystają niemało na tej symbiozie.

Wysoko kulturalna, pełna dyskretnego wyczekiwania jest postawa KW ZMS w Kielcach, który grupie tej skutecznie patronuje.

Od Rożnicy do Nagłowic zaledwie 10 kilometrów. Na trasie tej toczył się i toczy nadal nie jeden spór między chłopem i plebanem. Kto wie, czy patrzący ciekawymi i chciwymi oczami na życie młodzi z Ponidzia, nie zechcą sporom tym nadać poetyckiego kształtu, nowego blasku. Pomagają im w doborze barw artyści i działacze społeczni niemałej miary.

RYSZARD
MIERNIK

STRUGAM

Strugam mieścinę
Z lipowego drzewa
Rzekę krajką płynącą
Koniki osikowe
Chłopów w czapach
Jak snopy
Psy
Z patykami ogonów



Strugam przekupki
W kształcie dzbanów
Wiatr wiejący od fary
Obwarzany jak barany
Żebraka
Przybitego do płotu

Strugam lalki lukrowane
Kolorowe stragany
Lusterka bez powodzenia
Zgubioną
Kromkę chleba
Strugam
Ślady istnienia



STANISŁAW GLEŃ

MIASTECZKO

W bramie kamieniczki Przypkowskich
rozsypany się bukiet kolorowych kwiatów
z dalekich czarnomorskich plaży
zatrzepotały drobne płatki
w łagodnym uśmiechu wiatru
było tam trochę morskiego słońca
i zapachu migdałów w kruczych włosach
młoda roześmiana dziewczyna mówi
gdy wrócić do swojego kraju
ulepić z kłosa złotego piasku
słoneczny zegar
i odmierzyć dzielący czas

HENRYK JACHIMOWSKI

KULE Z GUMY

hodowca ze mnie nie jest ogrodnik trawkę
hoduję nutrie (ta grupa zwierząt jest obecnie najbardziej popularna)
z przekonania oczywiście z przekonania z nieba forsą nie
jem widelcem nożem władam jak specjalista prawidłowo
kapelusza uchylam aby
nie wzbudzić podejrzeń o to ten o to ten
nie ma obawy proszę państwa nie ma obawy twarz
moja jest jak twarz kule z gumy ręce
moje słowa są jak ręce słowa haczyki zasadniczo
niczym nie różnię się od reszty
no to jestem facet na miejscu

ANDRZEJ ZATORSKI

RADOŚĆ

Mam i ja swoją radość
wplecioną w pejzaż schyłku dnia,
drzenie liści o świcie,
w szelest kropel.
Mam — to znaczy:
nie kupilem,
nie dostałem,
przeniosłem z roku na rok
w spojrzeniu,
kiedy to się spostrzeża
kopiec lata,
początek wiosny,
między jedną, a drugą troską.
Także — to znaczy,
że tkwi razem z uśmiechem;
w miękkości śniegu,
w jesiennym śpiewie kominów,
nie kupioną,
nie darowaną
radość mojej wyobraźni.

W KIELCACH...

Kielce to już nie jest to miasto, jakie żyje jeszcze w wyobraźni większości mieszkańców naszego kraju. Nie tak dawno jeszcze, było to jedno z najbardziej zaniedbanych miast w Polsce. Ale od kilku lat zarysowują się tu coraz bardziej wyraźne zmiany. Z miasta urzędniczego stało się stolicą Ziemi Kieleckiej miastem przemysłowo-turystycznym, a do tego określenia ma ambicje dodać jeszcze — kulturalnym. Dziś jest już faktem, że dawne Kielce, tradycyjnych panów urzędników, ziemiaństwa i emerytów przestały istnieć. Muśnięcie przynajmniej, że byłem zaskoczony nieproporcjonalnie dużą ilością młodzieży w Kielcach, to właśnie ona stanowi dzisiaj największy procent mieszkańców. Wystarczy przytoczyć cyfry. Otóż Kielce liczą obecnie około 90 tys. mieszkańców, z tego 25 tys. uczęszcza do szkół. Przypuszczalnie taka sama liczba (jeśli nie większa) można obliczyć pozostałą młodzież pracującą i uczącą się po południu. Wniosek jest prosty — w Kielcach ponad połowę ludności stanowi młodzież. Rzuca się tu do oczu każdemu przybyszowi. Młodych ludzi spotyka się tu dosłownie wszędzie, czy to będzie kino, park, teatr, kawiarnia czy wreszcie każda z ulic tego miasta. Nie różnią się niczym od swych rówieśników z innych wielkich miast naszego kraju. Te same modne fryzury, szpilki, oryginalne sukienki, wściekłe klapy, buty ze ściekami nosami, reszta wskazuje również na ich „zeuropeizowanie”. Od czasu powstania Kielc, nie było tu jeszcze tak obfitej młodzieży. Najważniejszą przyczyną tego jest skoncentrowanie szkół średnich w świętokrzyskiej okolicy (8 szkół ogólnokształcących, 8 technicznych, 5 zawodowych). Tego jak Kielce Kielcami nie było. Jako stolica województwa, ma to miasto ambicje ześrodkowania szkolnictwa, stał wielki, nieprzerwany napływ młodzieży z całej Ziemi Kieleckiej. Zresztą nie tylko stąd, całe polacie Kielecczyzny od niepalających lat zaniedbane, niszczone wojnami, pozbawione dróg, po prostu biedne — nie zawsze mogą sobie pozwolić na kosztowne i specjalistyczne szkoły. Czy miasto jest przygotowane na przyjęcie tak wielkiej rzeszy młodych ludzi? Czy oprócz miejsc w szkołach i internatach może jej dać coś więcej?

W KLUBIE „ŁĄCZNOŚĆ”

Jest godzina 13.00. Wspina się po schodach na czwarte piętro domu przy ulicy Buzka, gdzie mieści się Klub „Łączność” przy PUPiK „Ruch” w Kielcach. Długość spaceru dwudziestu istniejących w Kielcach klubów wybrałem właśnie ten? Otóż dzisiaj odbędzie się tutaj inauguracyjny rok kulturalno-światowego w Kielcach, a poza tym jest mały jubileusz trzyletnia istnienia tego Klubu (podobno najlepszy w tym mieście). Wchodzę do nowoczesnie pomalowanej sali. Znajduje się tutaj mała scena, telewizor, radio, magnetofon i półki z czasopiśmiennictwem. Pierwsze wrażenie jest trochę szokujące, widzę dużo starszych pań i poważnych panów, a gdzie młodzi, na których bawie ten Klub? Zdziwienie tym większe, że po krótkiej części oficjalnej ma się odbyć wieczorek taneczny. Po referacie kierownika Wydziału Kultury MRN, głos zabrali przewodniczący Klubu. Później przysapiano do rozdawania nagród najaktywniejszym członkom Klubu. Na początku nagrody otrzymali dyrektorzy PUPiK „Ruch”, a potem wręczono ponad dwadzieścia nagród piętnastym. Wśród nagrodzonych osób dopatrzyłem się zaledwie dwu młodych kobiet, resztę stanowiły starsze panie i panowie. Teraz mieli wystąpić aktorzy Teatru Łalki i Aktora w Kielcach. Jednakże po rozdaniu nagród aktywni Klubu najwyraźniej zapomnieli o sympatycznej grupie aktorów. Wkrótce rozbrzmiał głos młodzieżowy zespół jazzowy. Młodzi aktorzy wypili kawę i nie pozostało im nic innego jak tylko opuścić Klub. Zespół jazzowy grał już przeszło dwadzieścia minut, ale nikt nie kwapił się do tańca. Zaczęło się robić strasznie nudno. Wyszedłem z Klubu „Łą-

czność”. Na ulicy Sienkiewicza roi się od chłopów w „dzwonniastych” spodniach i luźnych sweterkach, przy nich dziewczyny w obcisłych spódnicach i „ciuchowych” bluzkach. Z przystanku autobusowego rusza „ósemka”. Grupa chłopów stojąca obok podnosi krzyk: „Zatrzymaj się! Jeszcze matka z dzieckiem nie wsiadła!” Autobus przystaje w odległości kilku metrów. „Chaj! Chaj! Chaj!” — chłopaki pękają ze śmiechu. Zespół jazzowy gra dalej dla śpiących starszych pań i panów.

PETARDA

To było jeszcze w sierpniu. W ciepły wieczór wybrałem się do kina „Letniego”. Była niedziela i kino pod gołym niebem szczególnie wypełniła publiczność. Z ekranu wiała nuda (szedł film „Przygoda w Adenie”), gdy nagle powietrze rozdarł potężny huk.



Fragment ul. Sienkiewicza
Fot. R. Jakubowski

Jeszcze chwilę trwała projekcja, ale zaraz zapalono światła. W tylnych rzędach zapłonęła panika. Co się stało? Okazało się, że wybuchła tam petarda raniąc pięć osób. „Panie, to już drugi wypadek, najpierw podrzucili taką bombę w kawiarni” — mówił jakiś widzący siedzący obok mnie. Wymalowana blondynka pochyliła się do swojej koleżanki: — „Phil. Jakbym miała taką petardę, to sama bym ją gdzieś podrzuciła, przynajmniej nie byłoby tak cholernie nudno”. Przyjechała karetka pogotowia i po kilku minutach minutowo zwołano projekcję. A później kielecki „Słowo Ludu” doniosło, że milicja ujęła sprawców wypadku w kinie „Letnie”. Byli to uczniowie Technikum Chemicznego, w tym nawet jedna dziewczyna. Dziwną wybrał sobie rozrywkę. Petardę sporządzili przy pomocy kradzionych w szkole materiałów. Czyżby przyczyną była śmiertelna nuda? Czy też raczej był to jeszcze jeden (nie typowy i groźniejszy) chuligański wyskok.

WIECZÓR W WDK

Jest sobota! Godzina 20.00. Idę do jednego z najpopularniejszych ośrodków kulturalnych w Kielcach — Wojewódzkiego Domu Kultury. To Melika młodzieży tego miasta. Przed wejściem tłum młodych ludzi, ale wstęp tylko za zaproszeniami, bez nich nie dostanie się biletu na zabawę taneczną. Młodzieży wciąż przybywa, zaczyna się szturm na wejście. Przyszedł milicja. Młodzi odchodzą, kierują się do pobliskiej knajpy i uroczej, przesłankniętej zapachem wina kawiarni „Bajka”. Wchodzę po schodach na pierwsze piętro. Dzisiejszy wieczorek ma odmienny charakter od pozostałych, zaproszenia dostają tylko członkowie ZMS. Spotykam sekretarza Komitetu Wojewódzkiego ZMS Zdzisława Skuza. Opowiada mi o działalności tej organizacji na terenie Kielc i województwa. Mówi o sieci Uniwersytetów Robotniczych, kursach języków obcych, kursach radio-telewizyjnych, kursach przygotowania do studiów wyższych, kursach szycia, modelowania itd. Słucham z zainteresowaniem, przecież z tego widać, że coś się tu robi dla młodzieży, ale raptem przypominam sobie tych waleśniących się młodych z ulicy Sienkiewicza i parku im. Żeromskiego. „Czy w Kielcach jest jakiś klub wyłącz-

nie młodzieżowy” — pytam. „No, właściwie to takiego klubu nie ma — odpowiada Z. Skuza — trudności lokalowe, jest co prawda klub przy Studium Nauczycielskim, ale tylko dla studentów tej uczelni”.

Wychodząc z tzw. lustrzanej sali natknąłem się na trzech młodych ludzi, którzy rozmawiali pod ścianą z jakąś ladą na dziewczyną. Poznałem ich wcześniej zupełnie przypadkowo. Przechodząc przed południem ulicą Sienkiewicza zwróciłem uwagę na dwóch młodzieńców, którzy czekali na kogoś. Za chwilę pojawił się ten trzeci. Jeden z nich wyciągnął paczkę „Giewonów”. Zapalił. Wydawało mi się, że nie bardzo wiedzą co z sobą zrobić. Podszedłem do nich. Umówiliśmy się na wieczór w WDK. Teraz zbliżyli się do mnie. „Porozmawiałyśmy w tej sali obok — powiedział jeden z nich — wskazując na o-

szklone drzwi — ale teraz jest tam jakieś starsze towarzystwo i nie ma gdzie usiąść”. Wchodzę do środka, i za chwilę wszyscy siedząmy w głębokich fotelach. Młodzi ludzie są trochę speszzeni, gdyż wokół zasiada „kielecki high-life” w pięknych toaletach i nienagannie skrojonych garniturach. Kim są? Ładna dziewczyna zadała w tym roku maturę, tak samo młodzieniec siedzący obok niej, dwaj pozostali są już dawno po maturze i mają odbyłą służbę wojskową. Wszyscy są zgodni w twierdzeniu, że nie widzieli nudniejszego miasta od Kielc. Notuję dosłownie co mi mówią: „Odkąd wyszliśmy ze szkoły nie mamy co ze sobą zrobić w sobotę, niedziela i inne popołudnia i wieczory. Nasi koleśki, a nie raz i my kupujemy wtedy „sikaczki”, które opróżniamy w bramach, później trochę nieszkodliwie porozrabiamy i rozchodzimy się do domów. Przed trzema laty był na Czar nowski Klub Spółdzielczy, gdzie jeszcze można było za niewielką opłatą zabawić się. Teraz naprawdę nie ma gdzie, tylko czasem można się dostać do Klubu „Łączność” na jakiś wieczorek. WDK? Ależ tutaj trzeba płacić dziesięć złotych plus konsumpcja za dwie i pół godziny zabawy i nie zawsze można się dostać. Ten Klub na Czarnowskiej to zamknięty, bo miało tam być budowane kino panoramiczne, ale do dziś dnia nie się tam nie buduje. Aha! Był jeszcze Klub ZMS na Sienkiewicza, ale teraz przejęły go „Armatury” i wstęp ma tylko młodzież z tych zakładów. Co? W Kielcach jest dwadzieścia klubów i piętnaście świetlic? Nawet jeśli są to w przeważającej większości dla pracowników zakładów przy których jest Klub. My nie mówimy, że to jest źle, bardzo nawet dobre, ale dla takich jak my pozostaje tylko w sobotę wieczór albo zalać się, albo zorganizować „prywatki”.

Notuję te słowa z obawą, że nie równocześnie jak czasami reporterskiego, myślę jednak równocześnie jak czasami zbytnie wymagająca i niesprawiedliwa jest nasza młodzież. Daj jej, czego chce, bo jak nie dasz, to ci petardę z nudów podrzuci.

DYLEMAT?

Sprawy młodzieży, zapewnienia jej kulturalnej rozrywki zresztą nie tylko młodym, a co za tym idzie ożywienia miasta wiąże się ściśle z rozwojem i upowszechnieniem

kultury. Nie jest z tym jeszcze różowo mimo że w porównaniu z ubiegłymi latami widać wyraźny postęp. Dziś Kielce szczytują się słynnym w całej Polsce eksperymentalnym „Teatrykiem Dziennikarzy i Aktorów”, powstała grupa literacka młodych „Pondzie”, ukazują się znowu „Rocznik Świętokrzyski” i kilka pozycji o Ziemi Kieleckiej. O sytuacji kulturalnej Ziemi Świętokrzyskiej można wiele pisać z tego i dobrego. Aby jednak rozwój kultury przebiegał w tempie przyspieszonym, potrzebna jest przede wszystkim baza materialna. I tu wyłania się problem najważniejszy — czyłożyć większe sumy na rozwój kultury (w tym m. in. budowę klubów, świetlic, domów kultury), czy też na rozwój przemysłu i rolnictwa. Pamiętamy, że nie tak dawno jeszcze Kielecczyzna należała do najbardziej zaniedbanych okręgów przemysłowych w naszym kraju. Dziś jest już lepiej, ale wiele jeszcze zaległości trzeba odrobić. Podobnie wygląda sprawa z rolnictwem. Ludzie odpowiedzialni za rozwój Ziemi Kieleckiej postawili na przemysł i rolnictwo. W bieżącej pięcioletniej inwestycji przeznaczone 22,5 miliona złotych. Oznacza to uruchomienie 55 tys. nowych miejsc pracy w rozbudowywanych i nowo powstałych fabrykach. Rezerwy siły roboczej na Kielecczyźnie sięgają 100 tysięcy ludzi. Powstanie odlewnia stali w Końskich, cementownia w Nowinach (której możliwości produkcji osiągnie milion ton cementu rocznie), fabryka łączników w Potkanowie koło Radomia, zostanie rozbudowana Huta im. M. Nowolki w Ostrowcu. Powstanie dlatego, że tym ludziom należy przede wszystkim dać pracę!

Kielecczyzna posiada jeden z najwyższych wskaźników zagęszczenia w kraju, dlatego zostanie wybudowanych w pięcioletnie 85 tysięcy izb mieszkalnych. Rozwój rolnictwa — kosztować będzie w ciągu pięcioletnia 1.628,5 mln. złotych. Liczy się w tym elektryfikację 67,918 za gród, i 2455 izb szkolnych na wsi (kosztown 1.160 mln. zł). Znać z ofiarności społeczeństwa Kielecczyzny (świadczą o tym SFOS przyniosły za ostatnie trzy lata 105 mln złotych) realizację gigantycznych planów budowy 2000 km dróg lokalnych o nawierzchni twardej. Rozpoczęła w 1959 r. praca przyniosła już poważny efekt — 914 km dróg lokalnych o nawierzchni twardej, 176 km dróg o nawierzchni ulepszonej, wyremontowano 2892 km dróg gruntowych. Notuję te cyfry i muszę przyznać, że są imponujące. Ale jakże skromnie przy miliardach przeznaczonych na przemysł i rolnictwo wygląda suma przeznaczona na budownictwo obiektów kulturalnych i rozwój kultury — 49 mln. złotych. Aby skoncentrować środki finansowe na cele przez różnych „mecenatów” jak rady narodowe, zakłady pracy, spółdzielnie itd. podjęto projekt utworzenia Wojewódzkiego Funduszu Kultury, chodzi o bardziej racjonalne niż dotychczas wykorzystanie tych środków finansowych. Podobnie mi się ten pomysł, ale czy rozwiąże sprawę? W pewnym stopniu tak, ale przecież niekiedy sędzić o niezwykłych potrzebach gospodarczych i społecznych, wydatki na kulturę są zbyt małe.

Okres przełomu, jaki obecnie przechodzi Kielecczyzna jest trudny. Toteż chcąc nie chcąc musimy przyznać rację gospodarzom Ziemi Świętokrzyskiej, że zmuszeni sytuacją dają pierwszeństwo budownictwu mieszkaniowemu przed budową klubów młodzieżowych. Jest to wybór bolesny, ale przecież jedyny jakiego można dokonać.

Spaceruję po ulicach miasta, widać się po ziemi, która opiewał Dygasiński i Żeromski i myślę sobie, że moi młodzi rozmówcy, których opinie przytaczałem na początku, nie mają racji. Sądzę nawet, że kiepsko stoją z rachunków. Jeżeli na miasto, które liczy niecałe 100 tys. mieszkańców przypada około 30 klubów, to chyba rzecz nie polega na ich braku, lecz raczej — wadliwym funkcjonowaniu. Przecież mi trochę, że muszę na zakończenie powiedzieć kilka słów na temat kieleckich szkół, tak wysoko notowanych w literaturze. Przecież moi rozmówcy to młodzież szkolna, przynajmniej w większości. Czy i dzisiaj powtarzają nauczyciele jak za dawnych lat, że praca z kulturalną młodzieżą, to — syzyfowa praca?

O powieści „OBECNY” i JEJ AUTORZE

Powieść Waldemara Babinicza „Obecny” zasługuje na uwagę z wielu względów i chciałbym przynajmniej w części odpowiedzieć, dlaczego. Zaczniemy od sprawy, która niejako narzuca się sama. Mianowicie od bohatera. Otóż mimo że powieść pisana jest w pierwszej osobie (narratorem jest uczeń liceum), głównym bohaterem nie jest autor tych zwierzeń. Wprawdzie młody Warda znajduje się zawsze na pierwszym planie i jego dzieje stanowią wątek konstrukcyjny powieści, ale kronika, która nam przedstawia, nie jest wcale jego kroniką. Właściwie trudno nawet powiedzieć, czy chodzi o pokazanie losów samego Wardy, albo o elementy jego wspomnień, czy tak skomponowane, że wszystko jest w nich ważne. Jest to pamiętnik, w którym nie ma nic epizodycznego. Każda rzecz jest ważna i każda postać. W tym pamiętniku stapiają się ze sobą jakby dwa nurty. Nurt zdarzeń i faktów, które relacjonuje bohater, i jednocześnie ciekawa rejestracja sądów i wrażeń. Są to rzeczy nierozdzielne i tak podane, że na pierwszy plan wybijają się nie pojedynczy bohaterowie, a obraz środowiska. Powieść cechuje swoboda relacji, która pozwala autorowi na częste dygresje, tym łatwiej może rysować cały obraz, a nie jego tylko poszczególne elementy. Jest to więc powieść nie o Wardzie, nawet nie o „pace” Wardy, a o młodzieży szkolnej w ogóle, o młodych ludziach z prowincjonalnego miasteczka. Ze jest to młodzież w wieku „kwitnącej psychiki”, albo wychodząca z tego wieku, żadna przysług, rozwiązująca najzwyklejsze zagadnienia „tego świata”, a jednocześnie beznadziejnie wobec najprostszych trudności, zadanie dla autora tym trudniejsze i tym trudniejsze (w tym miejscu aż się prost o wspomnienie koligacji, ale o tym później).

Jest to także powieść o prowincjonalnym mieście i o bezpośrednim zapachu tego miasta, wsi. Babinicz doskonale oddał atmosferę małego miasteczka gdzieś w Kieleckiem (prawdopodobnie nikt nie znajdzie tego Orlarowa na mapie, ale swojego czasu Kielecką też nie było), więc jest to miasteczko prowincjonalne, tak sobie współczesny Kleryk, zabite deski od świata i sennie. Oczywiście, że z ambicjami, ale nie o to rzecz idzie. Miasteczko, to przede wszystkim jego ludzie, którzy nadają mu odpowiednią barwę. To szkoła, nauczyciele, to majster murarski i jego przedsiębiorca żona, „Stonoga”, to Funio — krawiec-filozof. To nasi chłopcy (patrzcie, znalazł się nawet drugie wcielenie „Przepróczy”!) Babinicz jest świetnym obserwatorem. Może ktoś by powiedział, że miasto jest nieco „udziwnione”. Ale właśnie taka jest nasza nowa prowincja, z jednej strony odgradzona od wielkich centrów, a z drugiej parająca się tymi samymi problemami, co wielkie metropolie.

Babinicz wyraźnie powiada, w którym roku toczy się akcja powieści. Ale to zbędny zabieg. Nawet bez tej daty, która wymienia Warda, można dokładnie określić lata, które obejmuje powieść. Lekcja historii (daję nam ją „profesor” Nos i doręcznik Szczyr) ma szczególną wymowę. Oto ona: „Panie Szczyr — rzekł miękko pan Nos — może zechce pan rozpocząć od lekcji historii. Pan Szczyr bez słowa uniósł politykę doręcznika płaszcza, odwrócił się do nas plecami i szybko zsunął spodnie. W migotliwym świetle niebieskawego neonu ujrzyliśmy w miejscu, gdzie u normalnych ludzi bieleją pośladki, dwie kości osłonięte cienką, sinawą powłoką. Pan Nos niby geograf stojący przed mapą, wskazywał na nie swoją lasceczką i raził pytanie: — Kto i kiedy panu to zrobił? — Niemcy w 1942 roku...” I tak dalej. Uczeń Sewer koresponduje z baue-

rem, który przyczynił się do śmierci jego ojca. „W ciałach Niemców nie ma tyle piękności, żeby zapłacić za moją ojca” — pisze. Te lekcje historii prowadzone przez pana Nos i korespondencja Sewera stawiają nas w obliczu nie tylko pojedynczej tragedii, ale tragedii całego narodu. Życie miasteczka może się toczyć różnie i różnie są „tragedie” młodych ludzi, upłynęło już kilkanaście lat od zakończenia wojny, a nad małym miastem wciąż unosi się niepokój, który nadaje charakterystyczne piętno życiu jego mieszkańców. Tej nocy „sądu” i lekcji historii miasto zyskuje nowy wymiar. Ludzie — nowych cech. A nawet ci, którzy są najdalej i obcy dla Nos, i dla młodego Wardy i jego przyjaciół, wstrętne Stonoga, nabierają innej barwy. Nawet jej drobne odczucia stają się jakby empatyczne i brudne sprawy mniej brudnymi. „Nigdy nie pomyślał, że pod płaszczem tym może kryć się tragiczna tajemnica, że blaszany numererek doręcznika to coś więcej niż powód do targów o wysokość taksy”. Czy można w tym wszystkim widzieć jeszcze jedną próbę rozrachunku z przeszłości? Niezwykle. Takie jest niebo nad Orlarowem i takie rysuje Babinicz. I nie trzeba zapominać, że pod takim niebem wyrastają młodzi bohaterowie powieści.

Jest to także powieść o wsi, a właściwie o stosunkach między wsią i miastem. Babinicz nie określa wyraźnie granic miasta, granice te znajduje właśnie w... Minkowicach, rodzinnej wsi bohatera. Ale to nie jest wiesz sprzed pół wieku. Ani nawet sprzed dwudziestu pięciu lat. Cechy tej wsi odbiegają od cech wsi znanej czytelnikom i autorowi z lat dzieciństwa. Wprawdzie urzęduje tam w dalszym ciągu ksiądz proboszcz, ale właśnie już tylko urzęduje. Nader prostymi środkami Babinicz rysuje społeczną funkcję księdza dzisiaj. Wprawdzie dzwony biją tak samo majestatycznie, jak kiedyś, i umiata prowadzić stateczne rozmowy z ludźmi, „zachęcać do posłuchu, do modłów”, ale to nie jest to samo, co kiedyś. I my widzimy, że nie jest to samo. Wiesz zewnętrznie wygląda, jak kiedyś, a przecież jest inna. Rekwizyty te same, a świat nowy. Nawet owi „profesor”, stary Warda, chłop z ambicjami, też jest inny niż przed dwudziestu pięciu laty; inny niż jego prototyp sprzed pięćdziesięciu lat. Coś się zmieniło i czytelnik to dostrzeże. Widać w tym dużą zasługę autora, który potrafił pokazać, chociaż w wielkim skrócie, nową wioskę, nową „naturę” wsi.

Powieść Babinicza trzeba zmieścić w orbicie znanej tradycji literackiej „Syzyfowych prac” „W Kielcach”, „Nieba w płomieniach”. Została napisana po „Złotej wodzie” i „Apostołach”. A wcześniej jeszcze ukazały się „Listy z parafii”. Pisarstwo Babinicza jest związane silnie z jego działalnością społeczną. Babinicz jest znanym działaczem w Kieleckiem i nie tylko w Kieleckiem. Przewodzi Uniwersytet Ludowy. Ma żywy kontakt z działaczami wiejskimi i młodzieżą. To są inspiracje, które dyktują mu takie a nie inne widzenie świata. I niech sobie krytycy piszą co chcą o tej powieści. Dobrze czy źle. Na przykład, niech wytykają, po co w powieści fragment o Podlesiu, i o dziewczynie lekce obyczajów, co daje ten fragment. Powtarzam, niech piszą, co chcą. Tych prawd i odkryć prowincjonalnego miasteczka, których dokonał Babinicz, nie potrafią przekreślić.

Waldemar Babinicz. Obecny. Czytelnik 1962 str. 324.

odgłosy

str.
7

CZTERY KONKURSY



Prace, które uzyskały dwie pierwsze nagrody na „konkursie na obraz sztalugowy”. U góry praca Stefana Wegnera, u dołu — Benona Liberskiego.

Fot. A. Idziński

Z wielkim rozmachem za-inaugurowali łódzcy plastycy nowy sezon artystyczny. Po ciekawej ekspozycji malarstwa krakowskiego, która w ubiegłym miesiącu gościła w naszym mieście, od niedawna czynna jest w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza duża wystawa zbiorowa, obejmująca kilka różnych gatunków twórczości plastycznej — wystawa, jakiej dawno w Łodzi nie oglądaliśmy, zarówno w dobrym, jak i w złym tego słowa znaczeniu. Jakkolwiek nie pozbawiona braków i daleka od doskonałości, to jednak niewątpliwie trzeba ją zaliczyć do bardziej udanych przedsięwzięć łódzkiego okręgu ZPAP.

Wystawa „4 konkursy” — bo o niej tu właśnie mowa — jest ekspozycją prac nadawanych przez łódzkich artystów na cztery konkursy plastyczne: na obraz sztalugowy, grafikę technik szlachetnych, tkaninę dekoracyjną oraz małe formy architektoniczne. Konkursy te Związek Plastyków ogłosił wśród swoich członków wiosną tego roku. Trudno recenzować wystawę, której poszczególne ekspozycje są tylko kolejnymi numerami i która poza niewielką liczbą prac nagrodzonych jest właściwie ano-

nimowa. Ale takie już, niestety, są założenia wszystkich wystaw pokonkursowych. Nie pozostaje mi tedy nic innego, jak ograniczyć się do kilku tylko uwag najogólniej charakteryzujących wystawę i wymienić artystów nagrodzonych na konkursach.

Jak już na wstępie wspominałem, wystawa ma pewne niedostatki. Rzuci się tu przede wszystkim w oczy dość znaczna różnica poziomów i to zarówno w całości ekspozycji, jak i w obrębie poszczególnych działów. Ponad wszelką wątpliwość raz jeszcze została wykazana supremacja malarstwa i grafiki w łódzkim środowisku plastycznym. Na tyle dobrych obrazów sztalugowych i świetnych grafik dość mizernie przedstawiają się dwa pozostałe działy wystawy, zwłaszcza dział tkanin dekoracyjnych; co jest tym dziwniejsze, iż łódzki ośrodek ma w tym gatunku plastyki zupełnie nieźle osiągnięcia. Sytuacji nie ratują tu nawet tkaniny wyróżnione, które nota bene pozostawiają też wiele do życzenia. Równie słaby poziom reprezentuje dział małych form architektonicznych. Jerzy Morga i Kazimierz Pilszka, którzy podzielili między sobą większość nagród tego konkursu,

nie wykroczyli niestety poza przeciętność.

O ile konkursy na tkaninę dekoracyjną oraz małe formy architektoniczne raczej zawiodły i nie przyniosły spodziewanych rezultatów, o tyle konkursy na obraz sztalugowy i grafikę technik szlachetnych zadowolić mogą najbardziej nawet wybredne gusty. Bardziej wyrównana artystycznie jest ekspozycja grafiki. Mimo rozbieżności, jakie dzieli twórczość poszczególnych grafików, większość prac konkursowych wiąże jakąś ogólną nić, która pozwala mówić o wspólnym, charakterystycznym obliczu łódzkiej grafiki. Syntetyczna forma, prostota sformułowań, precyzyjna i logiczna konstrukcja, w końcu czystość i techniczna wirtuozeria — oto atrybuty większości ekspozycyjnych na wystawie grafik. Wśród prawie 100 nadesłanych na konkurs prac graficznych zdecydowaną przewagę mają linoryty i akwaforty, choć nie brak tu prac wykonanych innymi technikami (monotypie, drzeworyty, litografie, akwaforty i inne). Największe uzna- nie jury konkursu — w pełni zresztą zasłużone — znalazła praca Leszka Róży zatytułowana „Ogrody”. Ponadto cztery jego akwaforty uzyskały wyróżnienia. Drugie nagrody zdobyli Benon Liberski i Henryk Płóciennik, trzecie zaś Ryszard Grzybowski, Stanisław Fijałkowski oraz dwukrotnie Tadeusz Dzióbkiwicz i Henryk Płóciennik.

Ekspozycja malarstwa, w przeciwieństwie do grafiki, jest mniej jednolita i zwarta stylistycznie, a i poziom ekspozycyjnych tu obrazów sztalugowych nie jest tak wyrównany. Obok wielu płócien naprawdę doskonałych znaleźć tu można jeszcze pewną liczbę zdecydowanie słabych lub bardzo przeciętnych prac. Mimo to, jako całość dział ten prezentuje się wyjątkowo okazale. Jako że konkurs na obraz sztalugowy nie stawiał żadnych konkretnych ograniczeń treściowych ani formalnych — znalazły tu odbicie wszystkie niemal tendencje i problemy, nurtujące współczesne malarstwo. A przynajmniej trzeba, że wachlarz zainteresowań i kierunek poszukiwań twórczych łódzkich malarzy jest bardzo szeroki — od artystów posługujących się zasadniczo formą realistyczną w znaczeniu tradycyjnym, ale w najrozmaitszych indywidualnych wariantach, aż po malarzy hołdujących różnym odmianom malarstwa niefiguratywnego z abstrakcją geometryczną, sztuką informel i kierunkami wielobacnymi „czystą strukturę materiału” na czele. Zgodnie z przewidywaniami wyniki konkursu nie przyniosły większych niespodzianek. Dwie pierwsze nagrody przyznano: Benonowi Liberskiemu i Stefanowi Wegnerowi. Prace Józefa Skrobin- skiego i Józefa Wasiołka uzyskały drugie nagrody, zaś trzy nagrody trzecie otrzymali: W. Garboliński, T. Roman oraz T. Tyszkiewiczowa.

O ile sam konkurs na obraz sztalugowy wypadł bardzo dobrze, to niestety kompletnie zawiodła ekspozycja — chaotyczna, przeladowana i mało czytelna (ob-razy rozmieszczone aż w trzech rzędach). Parę miesięcy temu, nie pamiętam już przy jakiej okazji, zwróciłem uwagę na konieczność przebudowy pawilonu Ośrodka Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza. Każdego, kto miałby jakiegokolwiek wątpliwości, co do celowości takiej inwestycji posyłam na wystawę „4 konkursy”. Tak zagęszczona ekspozycja w życiu nie widziałem.

ZAPOMNIANY LOT...

Starsze pokolenie z pewnością nie zapomniało jeszcze o wielkim zwycięstwie kpt. płt. Franciszka Żwirki i inż. płt. Stanisława Wigury w Challenge'u 1932 roku na polskim samolocie RWD-6; pamięta także bra- wurowy przelot przez południowy Atlantyk w roku 1933 na RWD-5 bis, które go dokonał kpt. płt. Stanisław Skarżyński. W wielu miastach polskich są ulice, szkoły, drużyny harcerskie, a nawet zakłady przemysłowe nazwane imionami wyżej wspomnianych bohaterów przestworzy, ale nie ma nigdzie ani ulicy, ani szkoły, ani drużyny harcerskiej lub zakładu pracy imienia człowieka, który nie wątpliwie — nie pomniejszając zasłużonej sławy Żwirki czy Skarżyńskiego — dokonał o wiele bardziej heroicz- nego czynu, o czym zdaje się zapomniano. Bo nawet prasa lotnicza w ciągu osiemnastu lat powojennych tylko dwukrotnie zamieszczała nikielne wzmianki o tym czło- wieku. Mam na myśli mjr. płt. Bolesława Orlińskiego.

Bolesław Orliński, jako pierwszy z lotników pol- skich okresu międzywojen- nego wykonał nie byle jakie przedsięwzięcie: lot do kra- ju Wschodzącego Słońca. Był on pierwszym pilotem długodystansowym i niewąt- pliwie najlepszym akrobatą powietrznym świata lat trzy- dziesiątych. Jego sława jed- nak zaczęła się od gigan- tycznego lotu do Tokio i wszystkie jego następne wy- czyny nie przyniosły mu ty- le chwwały, ile właśnie ten dramatyczny lot Warszawa — Tokio.

Orliński wykonał swój lot na normalnym samolo- cie, produkcyjnej francuskiej. 27 sierpnia 1926 roku star- tuje z Warszawy poczyty- dwupłatowiec Breguet XIX. Załogę stanowili: por. płt. Bolesław Orliński i sierż. mech. Kubiak. Poza innymi dokumentami w kieszeni pi- lota spoczywało pismo z pie- częcią ze znakiem chryzant- emy — pismo cesarskiego poselstwa japońskiego w Warszawie, zezwalające na lot do Tokio i zapewniające bezpieczeństwo polskiej za- łogi na lądowiskach leżących na trasie Warszawa — Tokio. Chryzantema, to kwiat cesarski, a jednocześnie sym- bol życzliwości Japończy- ków. Szlak wiodący z War- szawy przez Moskwę, Ka-

zań, Omsk, Krasnojarsk, Czytę, Charbin, Mukden, Hei- dźio do Tokio pokonany zo- stał w ośmiu dniach. W do- datku, ku zdumieniu Japoń- czyków, Polacy, jako pierw- si przelecieli bez lądowania odcinek Heidźio — Tokio. W stolicy Japonii, naszych bohaterów powietrznego szla- ku witano owacyjnie, wrę- czając im na każdym kroku chryzantemy. Orliński wraz z Kubiakiem byli uroczy- ście podejmowani specjalnie wydanym przyjęciem przez Teikoku Hiko Kyokwai, czy- li Cesarski Aeroklub Japo- nii. Zaś sam młodo Jishi- Hito nadał Orlińskiemu dnia 6, 9 miesiąca, 15 roku Tais- ho, czyli roku 2586 od wstą- pienia na tron cesarza Dżym- mu, najwyższe odznaczenie japońskie: „Order Wscho- dzącego Słońca”.

Jednakże całkiem inaczej wyglądał powrót, do które- go Polacy wystartowali z To- kio w dniu 11 września. Nad Morzem Japońskim, które jest siedliskiem tajfu- nów, roztoczyło się istne pie- klo. Nieprzeniknione ciem- ności zmusiły por. Orliń- skiego do szukania przejść w kłębowisku groźnych chmur. Pilot w pewnej chwili zgubił kurs lotu. Krą- żąc nad kotłującymi się fa- lami dostrzegł małą wy- sepkę, lecz nie mógł jej znaleźć na swej mapie. Zrozpaczony wychylał się na wszystkie strony ze swej kabiny, co szybko zauważył Kubiak, rozumiejąc, że pilot stracił orientację. Dzielny druh przyszedł poruczniko- wi z pomocą. Podał mu ma-łą mapkę wydartą z jakie- goś atlasu. W normalnych warunkach nie można było brać tej mapki poważnie, lecz tutaj nie było wyboru. I co ciekawe, że owa map- ka uratowała życie dwóm dzielnym lotnikom. Orliński po dokładnym przyjrzeniu się jej, spostrzegł mały czar- ny punkt, który, jak się oka- zało, był właśnie małą skal- stą wysepką, wokół której tak długo krążyli. Gdy do- kładniej przypatrzył się mapce, zrozumiał, co ich czekało, gdyby lecieli dalej w tym samym kierunku. Do- ląd musieliby lecieć w li- nii prostej około 700 kilo- metrów, gdy tymczasem za- pas benzyny wystarczał za- ledwie na 300 km. Pilot na- tychmiast zawrócił maszynę pod wiatr i po niespełna go- dzinie lotu ukazał się wąski, siny pasek lądu. Pomyślnie wylądowali w Heiko. Po za-

tankowaniu paliwa polecie- li do Heidźio, aby stamtąd kontynuować lot do Czyty. Nie przypuszczali ani na- chwile, że mała syberyjska stacyjka Byrka, leżąca na trasie Czyta — Charbin bę- dzie najdramatyczniejszym punktem wyprawy tokij- skiej.

Na pogranczu tajgi i bez- kresnego stepu, na którym od czasu do czasu można było dojrzeć jurty koczują- cych Burjatów i tabuny pa- sących się koni, nieszcze- lność rurki oliwnej zmusiła Orlińskiego do lądowania, które zresztą odbyło się po- myślnie. Wylądowali nieda- leko Byrki. Na stepie pano- wała niezmacona niczym ci- sza. Natomiast przez samą Byrkę przeszła trąba powie- trzna. I oto stała się rzecz najdramatyczniejsza, któ- rej Polacy najmniej się spo- dziewali...

Samolot, stojący pod wiatr nie był zakotwiczony do ziemi. Szalejący wicher wznosił jego ogon wysoko i potoczył na kółkach ma- szynę — ogniem naprzód — na przestrzeni trzydzie- stu metrów. Płatowiec z im- petem uderzył w płot, a potem na nim zawisł. Lewe dolne skrzydło, strzaskane, bezwładnie zwiślało ku zie- mi. Śmigło pęknięte i niesamowicie zdeformowana ma- ska silnika. O jakiegokolwiek pomocy technicznej w tym beznadziejnym stepie nie było mowy. Jednak Orliński po- stanowił lecieć do Warsza- wy i chlubnie zakończyć swój wspaniały lot...

Następnego dnia rano, wspólnie z mechanikiem Ku- biakiem amputował okale- czone skrzydło, a kobiety z- plemienia Burjatów zeszy- ły płótno na skróconym płacie. Powierzchnia nośna płata zmniejszyła się o dwa metry kwadratowe. Dla za- chowania równowagi trzeba było skrócić prawe skrzydło. Śmigło sklejoną klejem sto- larskim i przewiązano dla wzmocnienia drutem. Naj- bardziej lotników intrygował jednak silnik, który zamiast 1400 obrotów na minutę da- wał tylko 1300. Widocznie przy uderzeniu został skrzy- wiony wał korbowy, albo ja- kaś inna część. Lotnicy nie orientowali się również, czy górne skrzydło nie zostało uszkodzone. Wystarczyło nad-

Dalszy ciąg na str. 11



Rok 1931 w Cleveland — Kpt. Orliński w otoczeniu polskich dzieci przy samolocie P-6.

THE LOWEST MARK

— When was Rome built? — asked the teacher.
 — At night, — said Andy.
 — Who told you that? — asked the teacher.
 — You did. You said Rome wasn't built in a day, —
 was Andy's answer.
 — Your answer is wrong, — said the teacher angrily.
 — But I don't think, I deserve an absolute zero.
 — Neither do I, — said the teacher. — But it is the
 lowest mark that I am allowed to give.



KEIN WIEDERSEHEN

Herr Schwarz hat keine Frau mehr. Sie ist vor einigen
 Monaten gestorben. Jetzt ist er Witwer.
 Herr Schwarz sitzt vor der Fotografie seiner Frau und
 sagt:
 — O Marie, nun bist du jetzt im Himmel. Du bist allein
 und ich bin allein. Das Leben ist jetzt nicht mehr schön.
 Werden wir uns je wiedersehen?
 In diesem Moment erinnert sich Herr Schwarz an seinen
 Vetter Ernst und sagt:
 — Weisst du, liebe Marie, unser Vetter Ernst sagt, dass es
 kein Wiedersehen gibt. Er ist ein kluger Mann und ich
 glaub's ihm...



A GRAMMAR LESSON

One day a teacher was giving his class a lesson on
 grammar.
 The subject was: TRANSITIVE VERBS. He explained
 very carefully the two words ACTIVE and PASSIVE. He
 also said that the object of the sentence when the verb is
 ACTIVE becomes the subject of the sentence when the
 verb is PASSIVE.
 To illustrate this point he wrote the following sentence
 on the blackboard:
 „The man kicked the poor donkey to death.”
 — Now, — said the teacher, — is the verb kicked
 Active or Passive?
 — Active! — cried all the boys in chorus.
 The teacher said:
 — Quite right, kicked is Active. Who can change his
 sentence into the Passive form?
 One of the boys said:
 — The donkey kicked the poor man to death.



gen Dame. Er wiederholte ihm auch die Antwort des
 schönen Fräuleins. Am Ende sagte er:
 — Ich weiss, dass du mein Mädchen liebst, so heiss wie
 ich. Ich will nicht fragen, wer grösseres Recht hat, dass
 sie ihn glücklich macht. Du sollst hier bleiben. Ich gehe in
 die weite Welt. Ich hoffe, dass ich sie vergessen werde.
 Dann ist sie dein, und der Himmel segne deine Liebe...
 Aber werde ich sie nicht vergessen können, dann wirst du
 in die weite Welt gehen...

(Fortsetzung folgt)

NICHTS ZU TEUER

Herr Krause ging zu seinem Freund und sagte:
 — Mein lieber Freund, du weisst, dass ich kein Geld
 habe. Ich bin auch nicht gesund. Gib mir sechshundert
 Mark zu einer Badereise. Ich muss das Klima wechseln. So
 sagte der Arzt.
 Der Freund antwortete:
 — Mein Lieber, es tut mir leid, dass du krank bist und
 dass du kein Geld hast. Natürlich will ich dir helfen. Aber
 sechshundert Mark kann ich dir nicht geben. Es ist doch
 sehr viel Geld.
 — Ja, du hast recht. Das ist viel Geld. Aber es muss ein
 erstklassiger Kurort sein.
 — Warum ein erstklassiger Kurort? Dieser ist doch zu
 teuer...
 — Für meine Gesundheit ist mir nichts zu teuer.

TADEUSZ PAPIER



o rannej godzinie

24

„Owszem — powiedziała
 Mariola — Skoro sobie tego
 życzysz, I uderzyła mnie w
 twarz. „Jeszcze?” — zapyta-
 ła. I byłaby mnie uderzyła
 po raz drugi, gdyby nie ten
 milicjant. Schwycił ją za rękę
 i powiedział: „Co ty ro-
 bisz Mariola? Nie rób z sie-
 bie przedstawienia.” „Nie wi-
 dzisz?” — odparła. — Chyba
 nie potrzebuję tłumaczyć, co
 robię.” „Jak można — rzekł
 milicjant. — Uspokójcie się,
 bo was zapakuję do jakiegoś
 worka i zwiążę. Jak Bożę
 kocham, tak uczynię.” „No
 bij! Na co czekasz?” — krzyk-
 nęłam do Marioli. Ale ta
 wariatka jakby oprzytom-
 niała. Patrzyła tylko na
 mnie swoimi zielonymi o-
 czami jak zły kot. Nie wiem,
 czy pan mnie zrozumiał. By-
 łam oburzona na Mariolę,
 ale jeszcze więcej na sie-
 bie. Więc mimo że wydra-
 pałabym jej oczy ze złości.

krzyczałam, żeby mnie bi-
 ła. Słowo daję, chciałam że-
 ny mnie biła. Ale milicjant
 wszedł zdecydowanie pomie-
 dzy nas. „Mariola!” — za-
 wołał.
 Więc to tak się odbyło.
 Gdyby mi ktoś inny opo-
 wiadał, to bym nie uwie-
 rzyła. Można by powiedzieć,
 że śniłam. No jasne, tylko
 we śnie mogło się coś ta-
 kiego wydarzyć. Niech pan
 sobie tylko przypomni tę
 jazdę pociągami do Kolu-
 szek. I te okropne cioty w
 pociągach. A potem Anioła
 Stróża w postaci milicjanta
 i wreszcie Mariolę. Jak Bo-
 ga kocham, cała ta historia
 wyglądała na zwirowany
 sen. Więc proszę się nie
 dziwić, że straciłam pano-
 wanie nad sobą. Lzy mi sa-
 me leciały z oczu i w ogó-
 le byłam do chrzanu. A tu
 jak na złość jakaś wariat-
 ka przeszła obok nas i wy-
 śpiewywała na głos: „Bona
 sera, bona sera, señorina”.
 Najgorzej, że śpiewała ład-
 nie i głos miała ostry, taki

jaki lubię, jak Majdaniec,
 z „Czerwono-Czarnych” ślicz-
 ny głos ma ta Majdaniec. I
 nie powiem, dziewczyna by-
 ła zgrabna, miała na sobie
 spodnie-rurki, które pod-
 kreślały jej smukłość i lu-
 dzie się za nią oglądali. To
 mnie jeszcze bardziej dener-
 wowało. Wydawało mi się,
 że ta dziewczyna umyślnie

tak przede mną defiluje. Nie
 miała nic innego do roboty,
 jak tylko przed moim no-
 sem wyspiewywać „Bona se-
 ra”. A tu znowu jakieś chło-
 paki przebiegli obok nas, na
 dworcu zawsze dzieją się
 różne rzeczy, ktoś za kims
 biegnie, ktoś krzyczy, ktoś
 kogoś szuka, więc ci chło-
 pcy również mieli swój inte-
 res, ale jeden z nich zauwa-
 żył, że ryczę, akurat musiał-
 am sobie chusteczką oczy
 wycierać i gwizdnął. Gło-
 wę bym dała, że domyślił
 się draki. No jakże, wystar-
 czyło spojrzeć na naszą pacz-
 kę. Potem tamci koledzy się
 zatrzymali i ten chłopak za-
 częł im coś opowiadać.
 Wszyscy spojrzeli, naraz w
 naszą stronę i zaczęli ry-
 czeć jak wariatci. Być może,
 że temu chłopakowi wcale o
 mnie nie chodziło i tamci
 śmiali się z czego innego,
 ale mnie się wydawało, że
 to ze mnie. Mogłam tak
 myśleć, nieprawda?

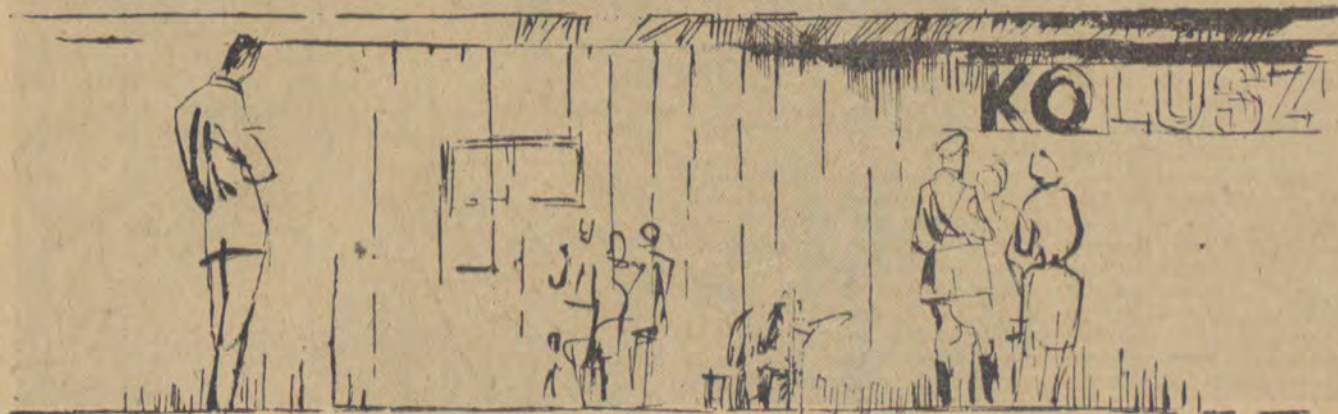
Więc wprawiło mnie to
 w jeszcze gorszy nastrój i
 już nie wiedziałam, co z so-
 bą począć. Ale milicjant
 zorientował się, że zaczy-
 na być niedobrze, wziął
 mnie i Mariolę pod rękę i
 zaprowadził na drugą stro-

nę. Pan wie, jak jest zbu-
 dowana stacja w Kolu-
 szkach. Zgadza się. Długi ba-
 rak i po obydwu stronach
 toru. Nie ma się czym chwa-
 lić. Więc poszliśmy na du-
 gą stronę i tam usiedliśmy
 na ławce. Milicjant w śro-
 dku, a my z Mariolą po obu
 jego stronach. Kostek sta-
 nał na uboczu. W ogóle Kos-
 tek zachowywał się dziwnie.
 Nie zabierał głosu i nie pod-
 chodził za blisko. Nawet nie
 pamiętam, czy się ze mną
 przywitał. Mariola powie-
 działa: „Siadaj Kostek” i
 dopiero wtedy usiadł. I też
 nie przy mnie, a przy Ma-
 rioli.

No więc usiedliśmy i mi-
 licjant, dobrze, powiem jak
 mu było na imię, Paweł.
 Mariola mówiła na niego
 Paweł, więc ten Paweł za-
 częł strofować Mariolę. Mó-
 wił do Marioli, ale było jas-
 ne, że pije do mnie. Znany
 chwyt, ale mniejsza o to.
 Więc ten Paweł tak powie-
 dział: „Słuchaj Mariola, nie-
 potrzebnie się uniosłaś.”
 Myślałam, że Mariola zacy-
 nował gadkę na po-
 przednim poziomie. Mariola
 była stanowcza i nigdy nie
 miała zwyczaju zwracać w
 połowie drogi. Również nie

bała się nikogo. Wystarczy,
 że przypomnę tę scenę, kie-
 dy z brzytwą stanęła na-
 przeciw Burucie. Myślałam
 więc, że w odpowiedzi usły-
 szę mnóstwo różnych uwag
 i docinków w rodzaju „ty
 kretyńko” lub „ty wariat-
 ko”. Zresztą miałaby rację,
 gdyby tak wystąpiła. Ale
 Mariola powiedziała: „Wiem
 o tym”. Wtedy spojrzałam
 na nią i zobaczyłam, że ma
 twarz zmienioną. Miałam
 wreszcie przed sobą tę
 samą Mariolę, z którą kie-
 dyś żyłyśmy w najpełniej-
 szej harmonii. Była jeszcze
 zachmurzona, ale widzia-
 łam, że się w niej coś prze-
 lamalo. Jej oczy nie mo-
 gły kłamać. To była ta
 Mariola, o której mówiłam,
 że gdybym miała zaczynać
 życie od początku, to na
 towarzyszkę wybrałabym
 tylko Mariolę. Gdyby nie o-
 becność Pawła i Kostka, to
 bym się jej z pewnością
 rzuciła na szyję i poręczyła
 byśmy się obydwie. Ale przy
 Pawle i Kostku za nic w
 świecie nie zdradziłabym
 swoich uczuć. Więc siedzia-
 łam w dalszym ciągu sztyw-
 na i zachmurzona.

Dalszy ciąg na str. 10



John was a young father. He was wheeling a baby carriage around the house. It was a very hot afternoon. — My dear, — came a voice from an upper window of his house. It was his wife's voice. — Now let me alone, — he called back. — We're all right! — Two hours later came the same voice from an upper window of his house: — My dear, John, dear... — Well, what do you want, — he replied. — Anything wrong in the house? — No, John, dear, but you have been wheeling my little sister's doll all the afternoon. Isn't it time for the baby to have a turn?



— I say, Tom, do you want a ticket for a dance? I mean, two tickets, — said John to his friend. — How did you come to get them? I didn't know that you were a dancer, — said Tom. — My sister gave me them. She'll be engaged this evening; an appointment, I suppose. — And why don't you want to go? — I'm the world's worst dancer. — Oh, yes, I am. A girl once asked me if I danced. — Why not? It was quite a polite question. — Yes, but I was dancing with her when she asked me.



REISEN IST SCHÖN

— 142 —

Bulgarien ist ein sehr schönes Land. Das wissen alle, auch Herr Schmidt weist es. Deswegen fährt er jedes Jahr an das Schwarze Meer. Sein Nachbar, Herr Engel, fragt Herrn Schmidt: — Sie fahren jedes Jahr nach Bulgarien. Wieviel kostet Sie so eine Reise? — Ja, diese Frage ist nicht leicht zu beantworten, — sagt Herr Schmidt. — Wieso? — fragt wieder Herr Engel. — Ja, sehen Sie, Herr Engel, wenn ich mit meiner Frau fahre, dann kostet mich so eine Reise zwanzigtausend Mark, — antwortet Herr Schmidt. — Und wenn Sie allein fahren? — fragt Herr Engel. Herr Schmidt lächelt und antwortet: — Wenn ich allein fahre, dann kostet so eine Reise viertausend Mark.



EINE GROSSMÜTIGE HANDLUNG

— 143 —

nach Friedrich Schiller

Zwei Brüder vertrieben sich in ein Fräulein. Das Mädchen war so schön, wie die Liebe selbst. Viele Jahre trugen die Brüder ihre Gefühle im Herzen. Keiner von ihnen hatte den Mut seine Liebe zu gestehen. Es war für sie ein grosses Geheimnis. Aber eines Tages sagte der ältere Bruder: — Mein schönes Fräulein, ich liebe Sie. Mein Herz gehört Ihnen. Das Mädchen war sehr überrascht. Nach einer Pause sagte die junge Frau: — Gestern war Ihr Bruder bei mir. Er sagte mir dieselben Worte. Er liebt mich auch. Sein Herz gehört auch mir. — Was wollen Sie jetzt tun? Welcher von uns beiden gefällt Ihnen besser? Welchen von uns beiden wollen Sie glücklich machen? Antworten Sie. Die junge Dame wurde rot. Sie konnte kein Wort sagen. Sie schaute zum Fenster hinaus. Nach einer langen Pause antwortete sie: — Ihre Fragen kann ich nicht beantworten. Gehen Sie zu Ihren Brüdern und sprechen Sie mit ihnen. Die brüderliche Liebe soll entscheiden wessen Frau ich werden soll. Mehr kann ich jetzt nicht sagen. Leben Sie wohl, mein Herr. Der ältere Bruder ging nach Hause. Er konnte nichts essen. Er konnte auch nicht schlafen. Die ganze Nacht dachte er an das schöne Fräulein, an seine heisse Liebe zu diesem Mädchen, an sein grosses Unglück. Am nächsten Tag ging er zu seinem jüngeren Bruder. Er erzählte ihm über seinen gestrigen Besuch bei der jun-

Dalszy ciąg ze str. 9

Niech pan posłucha, jaki teraz teatr odstawili. „No widzisz — rzeki Paweł zwracając się do Marioli — Rozmawiałem z Magdą i doszedłem do wniosku, żeśmy się porządnie wygłupili. Powiedz, Mariola, wygłupiliśmy się czy nie? No powiedz”. „Nie wiem — odparła Mariola. — Ale dostrzeż, że tu jesteśmy”. „Nie — powiedział Paweł — lepiej, abymy tutaj nie przyjeżdżali”. „To moja wana” — odezwał się po raz pierwszy Kostek. „Jeśli wina, to już wspólna” — poprawił go Paweł. Boże święty jak oni zaczęli się teraz licytować. Kto więcej zawinił, a kto mniej. Okropnie to było. Zwłaszcza kiedy mówił Paweł. Pan rozumie. Co sobie przypomniałam, jak się wygłupiliam do Pawła o tej mojej miłości do Kostka (rany, ja go miałam kochać, ciotka nam przeskądzała w tej miłości, a Mariola chciała mi Kostka oddać, co za straszne brednie!), to chciałam się zapaść pod ziemię. Co tu ukrywać, Paweł zrobił mnie na szaro. Więc oni tak gadali między sobą, a o mnie jakby zapomnieli. Ale słuchałam uważnie wszystkiego, nie uroniłam ani jednego słowa. Oni też wiedzieli, że ja słucham, a nie błąkam się myślami gdzieś nad morzem. Pan nie uwierzy, w jaki sposób wpadli na mój ślad. Dopatrywałam się różnych rzeczy, a w istocie sprawa była bardzo prosta. Kiedy zadzwoniłam do Kostka i potem do telefonu podszedł Geograf, pan sobie przypomniał, rzucił słuchawkę i uciekał. Ale Geograf nie

położył swojej słuchawki i wciąż wołał. „Magda!” Potem do tej budki wszedł jakiś facet, chciał zadzwonić, no ale był połączony z Globusem, od słowa do słowa i Geograf dowiedział się, gdzie jest ta budka. Przesztraszyli się, że naprawdę chcą wiać z Łodzi. Kostek zaślał rżnął natychmiast Mariolę, a Marioli nie trzeba było dwa razy powtarzać jednego. Z miejsca zorganizowała pościg. O Pawła pan pyta? Pawła Mariola poznała u Felusia. Kiedy Feluś jeszcze żył i Mariola go pielegnowała. Paweł ją odwoził samochodem do Felusia. Umawiali się przed cerkwią bo tam Pawłowi było najwygodniej. A potem pan wie, Sielanka na sto dwa. Ale nie mogliśmy wiecznie siedzieć w Kuluszkach. Więc postanowiłam przerwać tę rozmowę. To było już nie do zniesienia. Doskonale orientowałam się, o co im chodziło. To wszystko, o czym oni gadali, to ja sobie niejednemu raz przeżywałam. Niemożliwe, że bym sobie nie zadawała różnych pytań, pan wie o tym dobrze. Dotyczących mnie, i ciotki, i matki, i w ogóle. Mówiłam już o tym. No więc, za dużo gadali. Jasne, że potem inaczej osądziłam ten ich pościg za zbiegłą dziewczyną. To znaczy za mną. Pan by powiedział, że za upadłą. Nie? Naprawdę nie? To dziwne. Zaczynam się upewniać, że się jednak rozumiemy. Nie we wszystkich sprawach, ale w większości tak. No dobrze. Więc nie mogłam już dłużej słuchać ich słodkich rozmówek, więc im przerwałam. „Jak długo jeszcze myślicie siedzieć na tej ławce?” — zapytałam. No bo rzeczywiście tkwiłszy tam ze dwie godziny. Ile już pociągów przejechało w różnych kie-

runkach! W rozkładzie jazdy nastąpiły, teraz martwe minuty. Ruchliwa zazwyczaj stacja opustoszała. Przejechał tylko jeden towarowy tasiemiec i potem nastąpiła przerwa. Byliśmy, nie licząc paru bab, które czekały na połączenie do Tomaszowa, sami na peronie. A przy tym słońce zaczęło przypiekać i siedzenie na ławce było już teraz naprawdę męczące.

Więc kiedy zadałam to pytanie, tamci jakby ożyli. Wi docznie czekali, aż się odezwę. Zaczęli się śmiać i Paweł zawołał: „Rzeczywiście, nie ma sensu dłużej tu siedzieć”. „Więc jedziemy” — zdecydowała Mariola. „Biegnij po bilety!” — powiedział Kostek i zerwał się z ławki. „Wolnego!” — powiedziałam — Biegnij, ale o mnie się nie troszcz”. „Jak to? — zdziwił się Kostek — Przecież jedziesz z nami. No po

wiedz, Magda, jedziesz?” „Kto powiedział, że pojedę? A może nie zechcę jechać?” — odpowiedziałam. „Przecież słyszeliśmy. Zapytałaś, jak długo będziemy tu ślepieć. Nie zapytałaś? Więc jedziesz” — upierał się Kostek. „Powiedziałam tak. Ale czy jadę z wami, to inna sprawa” — odparłam. Na to Mariola podeszła do mnie, wzięła mnie za rękę i powiedziała stanowczo, Boże święty, dawno już nie słyszałam Marioli mówiącej takim głosem. „Kostek, idź po bilety. A ty nie bądź głupia. Magda, ja cię przeproszam.” I pocałowała mnie. „Nie potrzebuję mi przeprosin — odparłam — I nie wzruszaj się za bardzo. Może ci jeszcze zaszkodzić na serce. Szkoda by cię było.” Mówiłam do niej w ten sposób, ale naprawdę więcej mnie to wzruszyło, niż wszystkie do tychczasowe zagrywki. Czasami jedno słowo i jeden

gest znaczą więcej niż tysiąc słów. Ale nie pocałowałam jej i nie oddałam uścisków. Chciała mnie jeszcze raz pocałować, ale się odsunęłam i powiedziałam: „Niedobrze ci?” Ale jednak wróciłam do Łodzi. Można powiedzieć, że pod konwojem, bo w towarzystwie milicjanta. Nie, nie miałam żalu do Pawła. W końcu co mi Paweł zawinił? Z Pawłem przegrałam, bo byłam głupsza. Ale kto by się nie nabrał na ten teatr w Kuluszkach? Jednak daleko mi było do weselnego nastroju. No, przyznam się panu. W gruncie rzeczy byłam zadowolona z takiego obrotu sprawy. Pan wątpi? Chodzi panu o Tośka? Niech pan to włoży między bajki. Z Tośkiem na pewno bym nigdzie nie wyjechała. Tak samo jak z Narcyzem i z Borutą, chociażby obydwoj byli ze złota. Owszem, o morzu w dalszym ciągu marzę, ale nie z Tośkiem. Jedno jest tylko pewne, że gdyby nie te cioty w pociągu, to Warszawę bym zwiedziła. Ale i to byłoby wszystko. Pan mnie na tyle już poznał, że chyba wierzy w to, co mówię.

Są jednak czasami takie sytuacje, kiedy człowiek nie może powiedzieć nawet słowa „przepraszam”, chociaż wie, że coś przekrobał. Więc i ze mną tak było. Dlatego byłam taka opryskliwa wobec Marioli. W po-

ciagu też się do nikogo nie odzywałam. Na Dworcu Fabrycznym skorzystałam z pierwszej okazji i prysnęłam. Słowo daję, uciekałam im. Przynajmniej w ten sposób zemściłam się za te Kuluszki. Podobno Kostek rychnął na głos, kiedy spostrzegł moją ucieczkę. Tak mi potem Mariola mówiła. Szedł ulicą i ryczał, a Paweł i Mariola ocalali mu oczy. Jakies chłopaki urządzili mu orkiestrę na ulicy, a on nie mógł się opanować. Nie przypuszczałam nigdy, że z niego taki wariat. Więc im uciekałam i chodząc od kawiarni do kawiarni. Ostatnie byłam przy forsie. Przyszło mi nawet do głowy, żeby pojechać na emen tarz na grób Taty. Taka głupia myśl mi przyszła. Ale zrezygnowałam. Więc chodząc po ulicach, a kiedy nogi mnie rozbołowały, wsiadłam do taksówki i kazałam się wieźć na Chojny. Otworzyłam furtkę własnym kluczem i niespodziewanie zjawiliam się w kuchni. Z pokoju dochodziły liczne głosy, poznałam głos Marioli, jak coś wykrzykiwała, widocznie znowu zwołata sejm rodzinny. Wtem ciotka wyszła do kuchni, ujrzała mnie i szklanka wypadła jej z rąk. „Boże święty, Magda!” — krzyknęła. Na ten okrzyk otworzyły się drzwi i stanął w nich Globus. Nie zapomniałam do końca życia tej sceny.



Na tym kończymy druk fragmentów powieści „Magdalena o rannej godzinie”. Autor zwraca się z prośbą do tych Czytelników, którzy śledzili powieść, o listy i uwagi. Jednocześnie przypominamy, że poprzednia opowieść o Magdalenie i Marioli zawarta w cyklu „Magdalena”, uzupełniona nowymi opowieściami „Mecenas”, „Dziewczyna i korzeń bzu”, „Krzywy diabeł szuka dziewczyny” i „Och, Maria” ukaże się już w najbliższym czasie nakładem Wydawnictwa Łódzkiego pod tytułem „Magdalena w nocy”.

Nasz wzrok ma ograniczony zasięg i nie jest zdolny zobaczyć tego, co dzieje się poza horyzontem. Rozszerzenie zasięgu wzroku było od wieków wielkim marzeniem człowieka. Marzenie to dzięki wysiłkom uczonych już od pewnego czasu przeobraziło się w rzeczywistość.

Początkowo uczeni poświęcali swój czas na udoskonalenie telewizji, aby ją przystosować do naukowej pracy badawczej. Obecnie telewizja jest z powodzeniem stosowana w wielu dziedzinach wiedzy i nie sposób tutaj omówić wszystkich, z tej przyczyny ograniczę się tylko do niektórych: najbardziej typowych i znanych.

Wiemy, że badania wymagają niejednokrotnie nie tylko wiedzy i poświęcenia, lecz kryją w sobie również szereg istotnych niebezpieczeństw zagrażających zdrowiu a nawet życiu badacza.

Zastosowanie telewizji przy pracach badawczych chroni naukowca przed takimi przykrymi niespodziankami, a przy tym zastrza jego wzrok aż poza zakres widmowy, dostępny dla oka nieuzbrojonego w odpowiednie przyrządy. Weźmy dla przykładu fakt, że lampy analizujące — uczulone na podczerwień i ultrafiolet, a nawet na promienie rentgenowskie — umożliwiają badanie widma w każdym z przytoczonych zakresów. Telewizja udostępnia szereg informacji z miejsc dalekich, i stąd posiada szczególne zastosowanie w dziedzinie astronomii, w podróży statków kosmicznych, itp.

Teleskop, wyposażony w transmitującą kamerę telewizyjną można wypuścić w górę, na balonie wysokościowym lub sputniku. (Ten drugi sposób ostatnio jest stosowany z powodzeniem tak w ZSRR, jak i w USA). Uzyskany obraz odbiera się na ekranie telewizora kontrolującego, znajdującego się w pracowniach instytutów naukowych.

Taka technika pozwala radzieckim uczonym na prowadzenie badań spektralnych, w zakresie promieni ultrafioletowych, które są zwykłe

absorbowane przez górne warstwy atmosfery.

Wielką rolę odgrywa w ZSRR telemetria — nauka zajmująca się przekazywaniem wielkości pomiarowych z szeregu oddalonych miejsc od punktu centralnego, w którym podlegają one korelacji z bezpośrednią obserwacją optyczną.

PIOTR SIPOWICZ

ZASTOSOWANIE TELEWIZJI W NAUCE RADZIECKIEJ

Bezpośrednia obserwacja tarcz mierników lub innych urządzeń wskaźnikowych na ekranie telewizora redukuje do minimum prawdopodobieństwo omyłek, co posiada odczytywanie odczytów znaczenie dla prac naukowych.

Omawiając zastosowanie telewizji w nauce, należy szczególnie podkreślić jej wielką rolę przy badaniach złączonych z biologią.

Nie sposób jest już dziś wyobrazić sobie stosowania badań biologicznych bez pomocy telewizyjnego mikroskopu, często jest to mikroskop połączony z telewizyjnym torem kamerowym. Mikroskop telewizyjny pozwala na elektroniczne potęgowanie kontrastu, który w połączeniu z inną techniką badawczą, może w oglądanym polu uwypuklać ważne szczegóły,

nieosiągalne przy zastosowaniu mikroskopu zwykłego. Uczeń radziecki stosując do swoich badań mikroskop telewizyjny z oświetleniem ultrafioletowym, który jest doniosłym środkiem w badaniach nad budową komórek oraz ich bezpośrednim otoczeniem, gdyż ciała organiczne zazwyczaj odznaczają się wy-

nanie niezwykle cennych dla nauki pomiarów względnej koncentracji próbek.

Podobnie olbrzymie usługi oddaje telewizja dla zoologii. Otóż niedawno uczeni radzieccy przeprowadzili szereg badań, dotyczących zachowania się zwierząt w warunkach zupełnej swobody — bez obecności człowieka, — zwie-

smiutą zachowanie i reakcje chorych.

Podobny system stosuje się podczas operacji. Pozwala to nie tylko na współuczestniczenie w operacji studentów, ale również na utrwalenie poszczególnych faz operacji, przez co zbiera się materiał do kontynuowania badań naukowych nad złożonymi pro-

jako natchnienie dla poetów i zakochanych.

Z niewielkiego, świetnego kola — Księżyc, jakby przekształcał się — aż wreszcie upodobił się do olbrzymiej kuli. A przecież nikt nie rzucił się do okien kabiny rakietowej, aby zobaczyć serce chłopa, raz spojrzeć na lodowate — srebrzystą planetę. Nie było bowiem w rakiecie „człowieka!” (K. A. Gładkow: „Teledienje i jego przemienienie”, Moskwa, 1960 rok).

W pierwszą kosmiczną podróż człowiek wysłał dzieło swoich rąk i umysłu: automatyczne laboratorium, wyposażone w najnowocześniejsze przyrządy. Gdy tylko rakietę opuściła ziemską atmosferę, rozpoczęły natychmiast pracę różne automaty, mogły do liczenia, przyrządy pomiarowe i kontrolne, — wszystkie, które są niezbędne do badań. Człowiek na Ziemi jedynie odbierał na ekranie obraz, przesyłany z tysięcy kilometrów. Telewizja stała się „oczami” rakiet. W kierunku Ziemi popłynęły sygnały przyrządów telewizyjnych. Podczas zmiany kierunku lotu rakiet, jedne anteny i obiektywy przekazników przedstawiały działając, lecz zaraz, w ich miejsce, „wysuwały” się nowe, które łowiły swymi szeroko otwartymi oczami powierzchnię Księżyc, Ziemię, Słońce. A daleko — na Ziemi, u kierującego lotem rakiety, zaświeciły się ekrany i wszyscy, przy tym obecni, odnieśli od razu wrażenie, jak gdyby znaleźli się we wnętrzu mknącej w przestrzeni rakiety.

Na jednym z wielkich ekranów telewizora obraz stał się podobny do miski, o dziwnym wglębeniu — to była Ziemia, która ze swoimi błękitnymi morzami, białymi chmurami, śnieżnymi wierzchołkami najwyższych szczytów górskich pozostawała coraz to dalej i dalej.

Prawda, że ta podróż należy już dzisiaj do dalekiej przeszłości, lecz przecież nie tak dawno, wszyscy mieliśmy okazję oglądać na swoich własnych, domowych telewizorach kosmonautów radzieckich: Popowicza i Nikołajewa podczas ich podróży w kosmos.

ZAPOMNIANY LOT...

Dokończenie
ze str. 8

peknienie jakiegokolwiek drewnianej części skrzydła, aby spowodować urwanie się płata w powietrzu. To, co pozostało Orlińskiemu z Bregueta nie było już samolotem, a według wszelkich praw fizyki każda z usterek tego „samolotu”, wybiegająca nawet pojedynczo, mogła spowodować nieuchronną katastrofę. Czyż możliwe było, aby skrzydło — nad którym francuscy konstruktorzy z zakładów Ludwika Bregueta pracowali zapewne całe miesiące, aby mu nadać taką, a nie inną długość, czy kształt, albo wewnętrzną konstrukcję, po amputacji na stopie mogło jeszcze nieść samolot, do odległości o tysiące kilometrów Polski?

A jednak Orliński wystarował. Uczynił próbne okrażenie nad Byrką, a skoro się przekonał, że płatowiec utrzymuje się w powietrzu, skierował go na Czytę i kontynuował przeloty lot...

Ze skróconymi skrzydłami, związanym drutem smigłem i silnikiem pływającym opilkami metalu z zacieraających się łożysk przebył Orliński jeszcze sześć tysięcy kilometrów, dzielących Byrkę od stolicy Polski, lądując szczęśliwie w Warszawie, witany owacyjnie przez tłumy społeczeństwa polskiego!

Gigantyczny szlak powierzonej długości 23.000 kilometrów przeleciał w dwudziestu pięciu dniach! War-

to przypomnieć, że lecący tą samą trasą pilot francuski Pelletier d'Olsy nie ukończył lotu i powrócił pościgiem do Paryża! Zaś as lotnictwa włoskiego, pułkownik de Pinedo leciał z Rzymu do Tokio i z powrotem 77 dni!

Lot Warszawa — Tokio był najwspanialszym wyciecznym mjr.-płt. Bolesława Orlińskiego. Choć ma on jeszcze na swym koncie nie pobity rekord akrobacji powietrznej. Będąc jeszcze w pulku, postanowił wypróbować swoją wytrzymałość i wykonał 242 pętle pod rząd, czego dotychczas nie wykonał żaden z lotników świata, do chwili obecnej! W 1929 roku kpt.-płt. Orliński zostaje głównym oblatywaczem w Państwowych Zakładach Lotniczych w Warszawie. Z tego okresu datuje się też jego zwycięstwo na międzynarodowym mityngu w Cleveland (USA). To, czego dokonał Orliński na samolocie konstrukcji inż. Puławskiego P-6 w Cleveland, określono jako wyczyn leżący poza granicami ludzkich możliwości. Polak nie tylko nie ustępował asom ówczesnego lotnictwa światu, lecz znacznie ich przewyższał.

W II wojnie światowej, Orliński, mimo podeszłego wieku brał udział jako pilot i dowódca 305 Dywizjonu Bombowców Lekkich w W. Brytanii. Latał na samolotach Mosquito, zdobywając Srebrny Krzyż i Virtuti Militari...

ZBIGNIEW JAN
CHOJNACKI



Byli mistrz świata i ogromnie popularny również w naszym kraju niemiecki kolarz „Taeve” Schur był sprawozdawcą telewizyjnym podczas tegorocznego Wyścigu Pokoju. Niestety, na tym polu nie odniósł spodziewanego sukcesu. Okazało się, że nie starczy doskonała znajomość dziedziny sportu, aby dobrze przeprowadzić transmisję. Ostatnio telewizja NRD (po nieudanej próbie z Schurem) ogłosiła konkurs na sprawozdawców sportowych. Wymagane warunki: wiek od 20 do 30 lat, umiejętność wystawiania się, szybki refleks, wykształcenie co najmniej średnie i dobra znajomość przynajmniej trzech dyscyplin sportowych. Warto zastanowić się, czy podobnego konkursu nie należałoby zorganizować również i u nas. Przecież jeden Rzeszot to za mało, jak na rozbudowany program sportowy naszej telewizji.

Maż słynnej Liz Taylor, amerykański Eddie Fisher, od czasu poślubienia pięknej Liz, występował bardzo rzadko w telewizji, mimo, że był związany kontraktem z NBC. Obecnie Fisher (po skandalu Liz z Richardem Burtonem), coraz częściej pojawia się przed kamerami telewizyjnymi. Jego ostatni występ w TV uważany był za najlepszy w całej dotychczasowej karierze. Proszę, jak to nieszczeście w miłości wpływają ożywczo na talent.

Było to dawno, dawno... — i gdyby nie świadectwo oficjalnych papierków: protokołu, planu pracy, imiennego wykazu członków „Przyjaciół”, można by między bajki włożyć rzecz, o której pragnę państwu opowiedzieć. Ale przypowieść moja dotyczy zdarzenia prawdziwego, jednak zastrzegam, że na moral — przynajmniej ten ostateczny, finalny — jeszcze trochę za wcześnie, ponieważ zdarzenie jest bez końca — i bez początku. Taki sobie powstał fenomenalny dziwolak, stwór co żyje, mimo że bez głowy i tułowia

A zaczęło się wszystko od prologu — dawno, bo jeszcze w czerwcu, minęło więc od tego chwalebego czasu zmartwychwstania bite cztery miesiące. Kto rzecz zainicjował — nie wiem. W każdym razie, zapisano dokładnie, kto ma się czym zajmować: z „góry” przemyśleń, co stało rozplanowane do najdrobniejszych szczegółów, z rozpisaniem na role.

Lecz kurtyna w górę nie poszła. Tylko ten prolog przed zamkniętą kurtyną zwłastując rozpoczęcie pracy Prezydium Klubu Telewizyjnego. Bo całość miała się nazywać KLUB TELEWIZYJNY przy Towarzystwie Przyjaciół Łodzi. Była to już druga z kolei próba utworzenia podobnego klubu — pierwsza nie „wyszła” w praktyce, na organizacyjne zebranie drugiej przybyli ludzie nowi, odświeżeni entuzjazmem, podzieliłi między siebie funkcje, a także ustalili plan działania.

Ot, i wszystko. Na tym zakończono. Minęły miesiące, klub istnieje zapisany w protokole z organizacyjnego posiedzenia jego prezydium.

A zapowiadał taki piękny program. Praca powinna była rozwinąć się aż w pięciu sekcjach: Informacji, popularyzacji wiedzy o telewizji, zbierania opinii widzów, współpracy ze środowiskami miłośnikami telewizji w Łodzi i województwie. W planie pracy między innymi założono: „ustalenie elemen-

TELEWIZJA MIĘDZY BAJKI WŁOŻYĆ?

tów koniecznych do sprawnego działania Telewizji Łódzkiej, w zdobyciu, których powinien pomóc Klub Telewizyjny (wzór transmisyjny, silniejszy nadajnik, itp.). Poplanowano sobie również mnóstwo innych, a wielce pożytecznych działań, jak nawiązanie kontaktu ze środowiskowymi kołami telewizyjnymi, przygotowanie akcji tworzenia takich kół, zorganizowanie we wrześniu ogólnego zebrania widzów, wraz z referatem pod znamiennym tytułem: „Klub Telewizyjny jako platforma wymiany poglądów między widzami, a telewizją” (1).

No i co, drodzy widzowie? Nie zebraliście się we wrześniu, ani też w październiku, na walnym zebraniu, ani nawet na tych swoich „środowiskowych kółach”, których nie było i nie ma dotąd. Nie wystuchaliście symptomatycznego referatu o Klubie Telewizyjnym, który miał być platformą, nie ma platformy, nie ma klubu. Może i to wam na zdrowie wyszło, czasu nie straciliście na próżno, jednak dla Klubu nie widzę żadnych usprawiedliwień.

Tym bardziej, że Klub firmowało Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, znane powszechnie ze swej solidnej działalności i rzeczowych osiągnięć. Trudno zrozumieć, jak to się stało — że patronat nad Klubem w

tym chyba zresztą sporadycznym — wypadku nie udało się.

Może dlatego, że kierownictwo Klubu przypało lu dziom nieodpowiedzialnym? — Stomianych aktywistów dużo egzystuje w naszym mieście, niech więc to dla innych przestroga będzie, że nie wystarczy złożyć swój prezydialny podpis na papierku, aby zasłużyć na aplauz czy uznanie. W każdym razie, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi powinno zająć wyraźne stanowisko w sprawie Klubu. Taki — wydaje mi się — jest Łódź potrzebny. Ale należy wreszcie postanowić: albo — albo.

Albo — po raz trzeci (a podobno do trzech razy sztuka), zorganizować Klub na nowo, lecz już na bardziej zdrowych zasadach; albo w ogóle zrezygnować z takiego, i na protokole „pierwszym i jak dotąd ostatnim, z pierwszego i jak dotąd ostatniego posiedzenia” uczynić adnotację: „rozwiązany”. A wtedy między bajki się włoży przypowieść o Klubie, a moral wyciągnąć sobie czytelnicy sami, bez pomocy

KOWALSKIEGO.

P. S. W okresie „działania” Klubu powstał w Łodzi Społeczny Fundusz Pomocy dla Telewizji. Co osiągnął — o tym w następnym numerze.

Czy PRZESTĘPSTWO PRZESTAŁO SIĘ OPLACAĆ?

Właściwie mógłbym poczekać z tym tematem dwa miesiące, a mieli byśmy do uczczenia okrągłą rocznicę: w styczniu 1963 minie pięć lat od daty uchwalenia przez Sejm ustawy „o wzmożeniu ochrony mienia społecznego przed skutkami wynikającymi z przestępstwa”. Ponieważ akt ten już podczas jego uchwalenia posłowie de facto jako środek nadzwyczajny, surowy i drastyczny, równie smutny, co konieczny, a więc taki, jakim nie ma się co szczycić, pomówmy o nim nie odświętnie, ale w zwykłym trybie tygodniowej, felietonowej młotki.

Przed uchwaleniem wspomnianej ustawy było tak: Amatorzy łatwego wzbogacenia się kosztem społecznym „kombinowali” sobie, powiedzmy kilkadziesiąt lub kilkaset tysięcy złotych. Żyli „na całego”, budując wille, kupując samochody lub inne współczesne dobra tego świata, albo też lokowali gotówkę w biżuterię i dolarkach. Jeżeli który z nich wpadał, odsiadywał parę lat, przez które nigdy by się nie dorobił takiego majątku, po czym wychodził na wolność i cieszył się życiem. Mówiło się wtedy jeszcze „śmierć frajerom”, przy czym frajerami byli wszyscy uczni.

Ustawa, zwana „stycznio-wa”, czyniąc zadość żądaniom ogółu uczelnych, domagał się ukroczenia zachowań niefrajerów — miała zaprzeczyć ich jak mo da rozprzestrzeniającą się filozofii i odrzucić następstwa życia ułatwionego. Stąd obok pewnego uszluszenia kary więzienia w zależności od wysokości malwersacji, ustawodawca zastrzegł represję ekonomiczną nakazując przepadek majątku, odszkodowania i grzywny. Szło o to, żeby złodziei i kombinatorów bić nie tylko „po siedzeniu” przez po sadzenie, ale i po przesileniu.

Czy dziś po niespełna pięciu latach można powiedzieć, że ustawa zdążyła egzamin życia? Czy przyczyniła się do obalenia i wykorzenienia ze społecznego obiegu mitu o opłacalności przestępstwa?

Statystycznie rzecz biorąc, maleje ilość afer, a jeśli kto na podstawie lektury sprawozdań z procesów mniema inaczej, to proszę zwrócić uwagę, że dotyczą one przestępstw popełnionych przed parą laty, które naturalnym porządkiem rzeczy dopiero ostatnio weszły na wokandy. Niestety taka już natura tych spraw, że ujawniane są z pewnym opóźnieniem w stosunku do daty dokonania, że śledztwo toczy się całymi miesiącami, z udziałem tabunu świadków i stert dowodów, że ustalenie stanu faktycznego przez sąd jest sprawą pełną niuansów. Nasz aparat ścigania, milicjiny i prokuratury musi mieć nieco czasu, żeby nauczyć się i techniki wykrywania i do wodenia tych specyficznych, nieraz misternie zakamuflowanych kombinacji „fakturowo-rachunkowych”. W obliczu wielu prawomocnie zakończonych wielkich i mniejszych procesów gospodarczych można z czystym sumieniem powiedzieć, że powoli opanowujemy w Polsce pewien widocznym przed laty żywioł gospodarczego „podziemia”, że w każdym razie wydaliśmy mu general

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSY”



Fot. A. Kobylński



do druku podał
St. Chmielewski

Jednym z najdowcipniejszych muzyków w Polsce był Feliks Halpern, kompozytor do dziś spiewanej „Czarniej Majki”. Dowcipami o każdej porze dnia sypał jak z rogu obfitości. Oto jego słowniczek wyrazów obcych dla analfabetów muzycznych w wielkim skrócie:

Allegro (z włoskiego) — żywe, szybko. Większość grających nie potrafi grać szybko „ale gra” — ślad allegro.

Chór — od „chory”. Spiewający zespół niedysponowanych głosowo, najczęściej opierający.

Finale — ostatnia część symfonii gra się głośno, aby publiczność mogła wyjść po karnie i „szybko”, by mogła zdążyć do kawiarni.

W roku 1910 Feliks Halpern wywieziony został do getta. Ale chociaż żył w najokropniejszych warunkach, nie tracił dobrego humoru. Gdy kiedyś odwiedził go w getcie grupa znajomych Polaków, aby złożyć mu wyrazy sympatii i współczucia, mocno szarpnięty już na zdrowiu Feliks Halpern oświadczył:

— Mało macie Goethego w mieście, jeszcze tu o mnie w getcie pamiętacie?

Dlaczego pan nie gra piano, jak napisane? — zwraca się gospodarz w Łodzi dyrygent (Nedbal) do fascysty, no raz trzech zatrzymać orkiestrę.

— Panie kapelmistrzu — rzecze fascysta — gdybym miał grać piano nie śledziłbym w Łodzi.

Michał Hertz, gdy opuścił w emigracji w Rosyjskiej swoje kompanie, zwykł mawiać: „Ja tu za pięć minut wrócę, tylko dam godzinę lekcji”.

*) Oskar Nedbal, sławny dyrygent czeski.

**) M. Hertz, łódzianin, profesor muzyki, pianista.

SPRAWNOŚĆ i PŁEĆ PIĘKNA

Na wyższe uczelnie kandyduje coraz mniej „wczesniaków”, to znaczy takich, którzy zdobyli egzamin dojrzałości, nie osiągnawszy jeszcze wieku maturalnego — 18 lat. W efekcie przeciętny wiek studenta podnosi się. Wydawać by się mogło zatem, że wyższy będzie również przeciętny wiek absolwenta uczelni.

Tymczasem jednak spotykamy się z wynikiem oddziaływania innego zjawiska: podnoszenia „sprawności” szkoły, co oznacza, że coraz więcej osób kończy studia w przepisowym terminie 5 lat.

Absolwenci „przepisowi”, których wiek nie przekracza 23 lat, stanowią w 2 największych uczelniach łódzkich — Uniwersytecie i Politechnice — około 40 procent wszystkich absolwentów. Taki stan utrzymuje się mniej więcej niezmiennie od 4 lat.

Jednak, obserwując tę grupę, jesteśmy świadkami zachodzącego w niej ciekawego procesu. Otóż w roku 1958 obie uczelnie miały tylko 150 absolwentów w wieku 23 lat, w dwa lata później — już 178, zaś w roku ubiegłym — 243, przy czym ogólna ilość absolwentów była prawie jednako-wa. Małala natomiast, kosztem absolwentów „dojrzałych” liczba absolwentów — wczesniaków.

Jeszcze w roku 1953 znalazło się wśród absolwentów 46 „genialnych dzieci”, które ukończyły studia w wieku 21 lat, czyli o dwa lata za wcześnie. W latach 1960 i 61 było ich już tylko po siedmiu.

Zarówno zmniejszony wpływ „wczesniaków” na uczelnie, jak również wzrost ilości absolwentów w przepisowym wieku, dowodzą stabilizacji systemu studiów i usprawnienia procesu nauczania.

Niepokoje natomiast inny fakt: wśród wszystkich absolwentów „jest” stale tylko około 40 procent kobiet. Natomiast wśród absolwentów w wieku lat 23 i mniej, kobiety stanowią aż 60 proc. Ze wspomnianych 46 „genialnych”, 35 było to kobiety, w ubiegłorocznej siódemce znalazło się ich aż 5.

Można zatem powiedzieć, że sprawność wyższych uczelni podnosi się wyraźnie dzięki płci pięknej, która znacznie szybciej dociera do dyplomu, niż mężczyźni. Jakże to ma znaczenie dla gospodarki narodowej, jakie wywołuje straty w specjalnościach typowo męskich (np. mechanika), nie trzeba tu dodawać.

Skarb Państwa odzyskał jeszcze przed orzeczeniem wyroków drogą bezwzględnego odebrania sprawcom zagarniętego mienia, przez potrącenie z należnych im opłat i dobrowolne wpłaty — zł 257.387, czyli 26,8 proc. Grzywny orzeczone w tych sprawach opiewają na łączną sumę 301.950 zł, z czego już ściągnięto 107.173 złote. Z różnych powodów cywilnych na rzecz poszkodowanych jednostek gospodarki u społecznej zasądzono zł. 344.184. W pięciu przypadkach skierowano do egzekucji wyroki przewidujące przepadek mienia skazanych na rzecz Skarbu Państwa. Summa summarum, jak widzimy, organy ścigania, w miarę sprawiedliwości i aparatu egzekucyjnego robią wiele, żeby straty ustalone w toku procesów sądowych wróciły do narodowej kasy. Robią wiele, ale czy wszystko?

Oto inne świeższe dane. W pierwszej połowie br. ściągano egzekucyjnie, będących pod nadzorem prokuratur dzielnicowych w Łodzi (a więc grzywny powyżej 2 tys. zł), opiewających na łączną sumę 1.134.500 zł (stan na 30 czerwca br. i za ległości) wyglądało następująco: zapłacono 89.705 zł, rozłożono na raty 41.470 zł egzekwują komornicy sądowi 328.000, zamieniono na karę zastępczą czyli odsiad-

ODGŁOSY

tygodnia

CZAS i PIENIĄDZ

Poza kwaterunkiem, agenda władz terenowych, przysparzającą najwięcej kłopotów i zderzania interesów, jest bez wątpienia Wydział Komunikacji. Obliczono ostatnio, biorąc pod uwagę ilość pojazdów w naszym mieście oraz wszystkie formalności, które posiadacz pojazdu musi dopełnić, że corocznie przed okienkami w ciemnym korytarzu przy ul. Parkowej, musi się przewinać około 110 tysięcy ludzi.

Jeśli stracony w oczekiwaniu czas takiej ilości interesantów spróbujemy „przełożyć” na język jakichś wymiernych wartości, to otrzymujemy się taki na przykład rezultat: równa się to zakładowi produktemu zatrudniającemu 111 ludzi przez okazył rok bez niedziel, świąt i urlopów. Wartość produkcji

takiego zakładu, obojętnie w jakiej branży, wyniosłaby co najmniej 10 milionów złotych rocznie.

To tylko teoria, zważy jednak, kto oczekuje przed oddaniem. Wiele po pierwsze kierownicy baz transportowych i kierownicy przedsiębiorstw uspołeczonych, co niewątpliwie odbija się na komunikacji, po drugie — właściciele pojazdów prywatnych, w większości ludzi na eksponowanych stanowiskach, których czas pracy liczy się na drożdż.

W efekcie wniosków, które opracowała komisja usprawnienia Prez. RM m. Łodzi, Wydział Komunikacji ma ulec dalszym przeobrażeniom, m. in. proponuje się „halowy” system obsługiwanie interesantów, to znaczy taki, jak w bankach.

HANDEL i WPŁYWY

Przy ul. Piotrkowskiej 103 znajduje się wielce osobliwy magazyn pn. Składnica Referatu Likwidacyjnego Wydziału Finansowego Prez. DRN Łódź-Polesie. Placówka ta, dla Łodzi centralna, nadzorowana przez Skarbowy Urząd Komorniczy tegoż wydziału, gromadzi mienie, które prawomocnymi wyrokami sądów przypadło na rzecz Skarbu Państwa. Prócz tego lokuje się tu różne towary rzeczowe i depozyty sądowe. Składnica zajmuje się sprzedażą przypadłego mienia. Ten wyjątkowy handel prowadzi komisynie z jednostkami gospodarki uspołecznionej. Głównym odbiorcą jest Przedsiębiorstwo Sprzedaży Okazyjnej i Komisyjnej (dawniej „Bazary”). Są i inni odbiorcy w zależności od towaru. A towar bywa wielce rozmaity. Od runa wełnianego poprzez przedzie, materiały tkane i dzianiny, skóry, artykuły radiotechniczne i gospodarstwa domowego, wszelką galanterię po... wódkę i tytoń. Te ostatnie sprzedaje się po okazyjnych cenach tylko wytwórniom monopolowym.

Ostatnio odbyło się upłynienie schedy po skazanym Marianie Goldbergeru. Asortyment artykułów pochodzenia zagranicznego nie największy, ale podaż hurtowa: 4 tys. par pończoch, ponad dwieście kostiumów kąpielowych marki „Ikra”, 1349 jedwabnych damskich chustek na głowę, 300 par skarpetek dziecięcych bawełnianych, poza tym swetry. Ta nieco zleżała pula towarowa podzieliła się sprawiedliwie: PSS Łódź-Sródmieście, MHD Art. Różne, PSOK i Centrogal, placąc w sumie 332.297 zł. Rzecz ciekawa, że towary pochodzące z tego źródła są „mekkowane” i wolno je w detalu sprzedawać po cenie komisynie ustalonej w Składnicy. Okazyjnie może więc zwykły śmiertelnik trafić od czasu do czasu na coś atrakcyjnego, pochodzącego z przypadku.

Ogółem Skarbowy Urząd Komorniczy poprzez swoich poborców i Składnicę dostarczył w ciągu 10 miesięcy br. ponad 900 tys. zł wpływów.

Wobec tej dwutorowości w egzekucji należności od skazanych. Byłaby ona mniej przewlekła i bardziej efektywna. Wiem, że realizacja ustawy styczniowej w zakresie represji ekonomicznej następuje z niemałą trudnością faktyczną (wykrywalność mienia i jego sprzedaż) i prawne (procesy o obalenie zajęć z tzw. domniemania i nie tylko). Nie jest moją rzeczą szczegółowo się tym zajmować. Pragnęłam tylko fakt funkcjonowania tej represji zasygnalizować. Sygnalizuję również, że jest ona nadzorowana. Bo czytelnikom należy się wiedza zarówno o tym, że ścigamy i karzemy amatorów łatwego zysku, żerujących na społecznym dorobku, jak i o tym, że straty te są rewidykowane. Żaluję, że rubrykom sądowym w gazetach, informującym o stratach i karach nie towarzyszą rubryki, w których donosiłoby się o dobrach odzyskanych. Byłoby wtedy naczyniem widać, że przestępstwo przestało się naprawdę opłacać.

Redaguje Zespół * Wydawca * Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 66. Tel. 244-78 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,— kwartalnie zł 12,— * Redakcja nie zamawia reklam i nie zwraca * Prenumeratę przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PTPiK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” * Druki RSW „Prasa” — Łódź, Zwirid 27 * Zam. 3225, XI. 62, A-4